

po prostu

TYGODNIK STUDENTÓW I MŁODEJ INTELIGENCJI

Nr 36 (345)

6. XI. 1955

Cena 35 gr

W NUMERZE:

JERZY OSKARDY — Więcej uwagi sprawom ziemskim.
JAN DZIEDZIÓRA, JACEK SIENNICKI, MAREK OBERLÄNDER
I. CELNIKER — Grafika.
MAREK ZAKRZEWSKI — Moszek.
TADEUSZ JASZCZYK — Zdemoralizowany.
JANUSZ KUCZYŃSKI — Drogi zbawienia i drogi życia.
ERNEST BRYLL — Piecy Temidy.

A jak z nim walczyć?

JAN DANECKI

Miałem niedawno okazję czytać jedną z prac magisterskich kierowanych przez Zakład Materializmu Historycznego UW. Dotyczyła ona spójni. Przykro powiedzieć, ale poza powtórzeniem i rozwodnieniem odpowiednich tez klasyków i odpowiednich materiałów Plenów KC naszej partii — w pracy tej nic więcej nie było. Żadnego prawie materiału faktycznego, żadnych prób samodzielnego zbadania choćby wycinkowych procesów spójni, żadnych prób postawienia nowych problemów. Czytałem uwagi pracownika prowadzącego pracę: nie grzeszyły znajomością rzeczy. Trudno mieć zresztą o to preljensje — nie można znać się na wszystkim. Ale wobec tego dlaczego nie odsyła się magistranta na konsultacje do ludzi, którzy mają na temat spójni coś do powiedzenia, dlaczego nie podsuwa się mu materiału faktycznego. Dlaczego wreszcie od początku nie zakwestionuje się ujęcia samej koncepcji właśnie dogmatycznego ujęcia pracy?

O ile mi wiadomo, inne prace nie przedstawiały się o wiele lepiej.

Gdy więc w dyskusji o dogmatyzmie w PO PROSTU zabrał głos tow. Bauman, który jako pracownik Zakładu ponosi za ten stan rzeczy współodpowiedzialność — można było spodziewać się, że w wypowiedzi tej znajdziemy próbę analizy tych — i innych — niepokojących tendencji w pracy Zakładu, propozycje jakichś kroków zmierzających do ożywienia tętna życia naukowego w dziedzinie materializmu historycznego.

Tymczasem jedyny w gruncie rzeczy wniosek, jaki wypływa z wypowiedzi Baumana, jest taki: daleko, bardzo daleko nam jeszcze do zgłębienia dziedzictwa klasyków marksizmu; zgłębiamy je zatem cierpliwie — a potem dopiero dyskutujemy o samodzielną pracę naukową.

W istocie zgłębienie całego dorobku klasyków — to sprawa, na którą nie starczy ludzkiego życia.

Szaleńcem ogłoszono by dziś każdego, kto razliłby inżynierowi zrezygnować z prób samodzielnego odkrycia technicznych, dopóki nie zapozna się uprzednio z całym dorobkiem współczesnej fizyki teoretycznej.

Zie jest, że podobne rady przyjmuje się bez zaskoczenia, gdy dotyczą nauk społecznych.

W ustach zaś człowieka, który — po wiarze — odpowiedzialny jest za rozwój nauki i kształcenie kadry — rady takie w praktyce oznaczać mogą tylko mydlenie oczu.

Jasne jest, że nie można przystępować do pracy teoretycznej bez przyswojenia sobie ogólnych zasad materializmu dialektycznego i historycznego, bez rzetelnego zgłębienia metody marksizmu

oraz pewnej sumy już osiągniętej wiedzy w tej szczególnej dziedzinie badań, które zamierza się samodzielnie rozwijać.

I najważniejsze: prawdziwie głęboką, twórczą znajomość marksizmu osiąga się dopiero w toku **praktycznego** rozwiązywania problemów badawczych — gdy sięga się do klasyków nie po schematy, lecz po **wytyczne** do teoretycznego czy praktycznego rozgryzania sprzeczności, napotykanych w życiu.

O BIUROKRATYZACJI FILOZOFII — SŁÓW KILKA

Wbrew temu, co twierdzi tow. Bauman, istnieje pewna zbieżność pomiędzy biurokratyzmem w polityce, a dogmatyzmem w nauce i filozofii. Tylko, że zbieżność ta nie polega na trzymaniu się zarządzeń (w życiu) i tekstów klasyków (w filozofii) — jak sugeruje to tow. Pomian (na tej samej płaszczyźnie podejmuje dyskusję tow. Bauman). Istota biurokratyzmu — jak wiadomo — polega na **oderwaniu aparatu od życia mas**, na lekceważeniu ich potrzeb, nieuwzględnianiu i marnowaniu ich twórczej inicjatywy. Istota dogmatyzmu polega na **oderwaniu teorii od praktyki**, a więc w konsekwencji tak samo na lekceważeniu potrzeb mas, nieuwzględnianiu ich inicjatywy i krępowaniu ich praktycznej twórczości; przeszarżowały schematami naukowymi.

Nie trzeba szczególnej docieklowości, aby odnaleźć podobną postawę wśród naszych zawodowych pracowników filozofii. W dziedzinie zaś materializmu historycznego analogia jest szczególnie wyraźna — tu bowiem bezpośrednim materiałem badawczym są zmieniające się procesy życia, jest ruch działających mas. I nie można posuwać naprzód rzeczywistej nauki — jeśli nie śledzi się uważnie tego ruchu mas, jeżeli nie rozumie się siły mas, ich potrzeb i dążeń, jeżeli w tym właśnie sensie **nie uczy się od mas**, nie wyciąga wniosków z ich dokonań, z ich rozwijającej się inicjatywy twórczej a także z ich wahań i z naszych własnych błędów.

A tego właśnie brak w poważnej (jeśli nie dominującej) części prac naukowych naszych pracowników materializmu historycznego. Dlatego właśnie wyprane są z treści, dlatego ograniczają się do powtarzania, względnie ilustrowania tez klasyków filozofii.

Nie w trzymaniu się litery dzieł klasyków tkwi źródło dogmatyzmu w filozofii. Tak zwane komentarstwo jest nie przyczyną, a konsekwencją. Kto nie umie lub nie chce

(Dokończenie na str. 2)

O dogmatyzmie po raz piąty



JAN DZIEDZIÓRA

„Dźwig”

WIESŁAW GÓRNICKI

CZTERY POCZTÓWKI

1. KOMUNIKACJA

Tego się nie da opisać, bo nikt w Polsce nie uwierzy, że mogą kursować nie zapchane trolleybusy, że w godzinach szczytowego nasilenia ruchu można liczyć na przeczytanie gazety w autobusie. To trzeba przeżyć. Trochę to dziwne słowo, jak na transport miejski, przysięgam jednak, że uzasadnione. Wozy kursują co minutę, najwyżej dwie. Główne arterie co najmniej dwa razy szersze niż Marszałkowska, prawidłowo przypominają kodeks piracki: wszystko wolno. Wymijając z obu stron na pełnym gazie, trąbić ile dusza zapagnie, stawać o milimetry przed poprzedzającym wozem. Mimo to wypadki zdarzają się niezmiennie rzadko. Milijanci gwizdają i tyją okiem na niesfornych przechodniów, ale za boczek z mandatami na ogół nie chwytają. Metro moskiewskie, jeżeli cokolwiek można o nim jeszcze napisać, wydaje się szczytowym osiągnięciem architektury i użytkowej plastyki. Z wyjątkiem nowych, powojennych stacji — najwyższy umiar, elegancja, arcyharmonia barw i kształtów.

2. SKLEPY

Po pierwsze — bardzo duże, po wtóre — doskonale zaopatrzone, co

nie przeszkadza, że stoją w nich kolejki, jak — nie przymierzając — w „Delikatesach”. Po trzecie wreszcie — znakomita, szybka, fachowa i uprzejma obsługa. Wszedłem do sklepu radiotechnicznego w Moskwie na ulicy Gorkiego (coż przywozi się z ZSRR, jeżeli nie magnetofon?), właściwie bez specjalnego celu. Spytałem o magnetofon. Nie czekając na dalszy ciąg mej przemowy, ekspedientka zdjęła go z półki i z wprawą żonglera zmontowała na ładzie. Przestraszyłem się — przecież ja i tak go teraz nie kupię! Ale dziewczyna nie zwracała uwagi na moje protesty. Musiałem mówić różne głupie rzeczy do mikrofonu, potem je jeszcze wysłuchiwać, w końcu poinformowano mnie, że jeżeli interesują mnie „Dniepry”, to dostanę je w GUM-ie na Placu Czerwonym, natomiast „R-5” są do nabycia na Pietrowce pod takim a takim numerem.

W Kijowie płonęliśmy ze wstydu, gdy na skutek niewinnego pytania o cenę rubaszki z ludowym haftem znaleźliśmy się nagle w obliczu sterty rubaszek tanich i drogich, brzydkich i ładnych, inianych i popielinowych. W Leningradzie zaoferowano nam tuzin różnych słów-

ków automatycznych, gdy spytał się o najtańszy, za pięć rubli.

Myślę, że to nie tylko zwykła uprzejmość. Chyba to już przejaw nowej, socjalistycznej psychiki społecznej, która każe traktować klienta nie jak zaprzysięgłego wroga i natręta — ale po prostu jak człowieka. Tę uprzejmość, uczynność, serdeczność widzi się zresztą na każdym kroku.

3. ARCHITEKTURA

Właściwie dwie architektury: stara i nowa, niestety zupełnie różne. Pierwsza — to suma kształtu i harmonii. Taki np. Leningrad jest miastem, którego sam zamysł urbanistyczny jest dziełem sztuki, nie mówiąc już o budowach. Całymi kilometrami ciągną się szpalery istnych klejnotów XVIII-wiecznej architektury, gmachów — monumentów i pałaców — żartów, pasy ogrodów, olśniewające perspektywy, kryształowo przejrzysta czystość stylu i majestatyczna skromność. Zresztą Leningrad to klasycyzm co prawda bardzo swoisty — spokojny i powściągliwy, ale tylko klasycyzm. Niezapomniane wrażenie robi narodowy rosyjski styl, poczynając od cerkwi Wasyla Błogosławionego na Placu Czerwonym, a

kończąc na cebulastych kopułach Soboru Sofijskiego i Ławry Peczerskiej w Kijowie. Rząd radziecki nie szczędzi środków na troskliwą odbudowę zabytków. Samo złoto na pokrycie nowych kopuł Soboru Sofijskiego kosztowało dwa miliony rubli. I dobrze, że pokryto je czystym złotem. Wspaniale rozświetlają panoramę miasta, widzianną znad Dniepru. Na przykładzie starej architektury rosyjskiej można powiedzieć, że z nią jak z winem: im starsza, tym lepsza. Niektóre budynki, jak Sóbór Isakijewski w Leningradzie czy Ławra Kijowska wgrzają się w pamięć, jak obrazy mistrzów.

Porównanie z winem jest jeszcze o tyle przydatne, że nadaje się i do nowej, radzieckiej architektury. Jej obecne stadium przypomina fermentowanie, przy czym — o ile mogłem zaobserwować — dużo jest przy tym procesie produktów gorzkich i kwaśnych. Są niektóre wieżowce — jak np. pałac MSZ na Placu Smoleńskim w Moskwie — całkowicie moim zdaniem udane, o szlachetnej, smukłej linii i nader oszczędnych zwieńczeniach. Są budynki — jak Uniwersytet na Wzgórzach Leninowskich — które w trzech czwartych wysokości urzekają, a w jednej czwartej irytują.

Są wreszcie i zupełnie brzydkie budynki, jak np. dom mieszkalny na Kotelnikowskim Nabieżeżu. Niektórzy radzieccy architekci chorują na swoisty kompleks wieży wodociągowej. Nawet udane, oryginalne gmachy zdobi zazwyczaj na szczycie jakaś złota rotunda, wymyślne wokół niej kolumnady, tympanony i fałszywe attyki i oczywiście dużo kosztownych detali. W sumie napawa to zniechęceniem, nuży oko i psuje smak. Mówiono mi, że mieszkalnych wieżowców więcej budować się w ZSRR nie będzie ze względu na ich nieopłacalność. Oby!

4. ULICA

Nevski Prospekt w Leningradzie, Kresczatik w Kijowie, ulica Gorkiego w Moskwie — warto zarekomendować taki spacer tym, którzy usychają z tęsknoty za reklamami Schichta i Habermuscha na Marszałkowskiej. Nie idzie nawet o liczne, bardzo kolorowe neony, spełniające rolę dyskretnych, twarzowej szminki, ani o kolosalny, wartki, niesłabnący nawet po północy ruch na ulicach. Jest coś nieuchwytnego w obrazie ulicy radzieckiej — coś, co ją wyróżnia chyba z wszystkich innych ulic świata: nastroj.

Ludzie się spieszą, ale nie potracają. Reklamy prześcigają się w oferowaniu usług. Między reklamą papierosów „300-lecie zjednoczenia Ukrainy z Rosją” i wiecznych piór „Leningrad” lśnią neony niezliczonych kas oszczędnościowych. postoj takówek ZIM i gruzińskiego narzanu. Jest w Moskwie restauracja „Pekin”, gdzie można zjeść pieczoną dżdżownicę; mała, uroczą knajpka gruzińska z oszłamającym menu, w którym potrawy nazywają się np. „urum angars”; znajdzie się piękna wystawa jubilerska z malenkimi arcydziełami starej roboty złotniczej; są i bogato zaopatrzone antykwariaty, gdzie można po średnio wysokich cenach kupić Pilniaka, Aleksiejewa, Jasińskiego. W sklepach z futrami, telewizorami i dziełami sztuki tłok nie mniejszy niż w tych z koniakiem, kawiozem i bielugą.

Są i boczne uliczki, cichsze, gorzej asfaltowane, drugorzędne. Ale do głównych ulic bywa tylko krok.

*

Byłem w ZSRR tylko szesnaście dni i dlatego nie odważam się nawet pisać listu. Tylko pocztówki.

A jak z nim walczyć?

(Dokończenie ze str. 1)

studiać fak-ów, kto ucieka się do badania obiektywnych prawidłowości, zachodzących w przyrodzie czy życiu społecznym jest skazany na sprzeczne z duchem marksizmu bezpłodne ilustrowanie tez klasyków. Złe tylko, że wśród pewnych ludzi to się nazywa nauką.

Rezultat jest taki: społeczna praktyka rewolucyjna idzie swoją drogą, a oficjalna nauka filozoficzna — też swoją drogą. Jaki więc powinien być kierunek naszej walki?

Wydaje mi się, że po to, aby przestać mówić o dogmatyzmie, a zacząć z nim wreszcie skutecznie walczyć, potrzebne są co najmniej dwie rzeczy (mówię wciąż o zagadnieniach materializmu historycznego):

Po pierwsze: Rzeczowa krytyka ukazujących się prac filozoficznych z punktu widzenia praktyki, systematyczna konfrontacja ich treści z faktami, z obiektywnym przebiegiem procesów społecznych. Rzeczywiście wartościowa będzie praca tylko wtedy, jeśli będzie — jak słusznie pisał Pomian — odkrywcza. Jeżeli wykrywać będzie rzeczywiście sprzeczności i pomóc w ich praktycznym rozwiązywaniu.

Po drugie: W oparciu o tego typu krytykę konieczne jest przystąpienie wreszcie do konkretnych badań społecznych. A to zakłada operowanie innego rodzaju materiałem, niż spoczywa się w naszych placówkach naukowych: materiałem czerpanym wprost z życia.

Nie chcę być źle zrozumiany. Oczywiście doceniam potrzebę i innych badań z zakresu materializmu historycznego, jak badania o charakterze historycznym, krytyka wrogiej ideologii itp. Jednakże niemożliwy jest taki stan, gdy flanki frontu są obsadzone, a centrum wciąż stoi puste. A po drugie — i tamtych zadań nie można odrywać od współczesnie zachodzących w Polsce przemian. Np. krytyka ideologii wroga, żerującego przecież na naszych współczesnych trudnościach — nie ma sensu, jeśli odbywa się z pozycji tylko czysto teoretycznych.

CZY WYSTARCZY „PODBIERAĆ” FAKTY?

„Prymat rozwoju przemysłu ciężkiego jako podstawy stałego wzrostu produkcji — przemysłowej i rolnej — to droga nieustannego podnoszenia poziomu materialnego i kulturalnego mas pracujących, umocnienia siły państwa ludowego i obronności Ojczyzny”.

Nie rozumiem, na jakiej podstawie Pomian doszedł do wniosku, że zdanie to jest w istocie swojej dogmatyczne. Jest to tylko abstrakcyjne, uogólniające sformułowanie, może ono być równie dobrze dogmatycznym sloganem, jak zamknięciem rzeczowych twórczych badań. To zależy od treści całego artykułu. To zależy od tego, co nowego wnosi on do skarbnicy myśli filozoficznej, jakie nowe prawidłowości wykrywa. I w ten chyba sposób, a nie wyrzucając z całosci poszczególne zdania — jak to zrobił Pomian — należy podchodzić do antydogmatycznej krytyki.

Z ciekawości postanowiłem sprawdzić, jak to jest rzeczywiście w wypadku, na który powołuje się Pomian. Zabrałem się więc ponownie do lektury artykułu, z którego wyrwany został zacytowany fragment — jest to artykuł Stanisława Wiederszpila: „Polityka państwa socjalistycznego — prawa ekonomiczne” („Myśl Filozoficzna” nr 2/1955). Trzeba oddać autorowi sprawiedliwość: sięgnął on po centralne, bardzo zło-

żone i trudne problemy materializmu historycznego. Warto dodać, że jest to jedna z bardzo nielicznych „Myśli Filozoficznej” prac podejmujących zagadnienia teorii społeczeństwa i w ogóle — jedyna w tegorocznych numerach „Myśli” praca dotycząca współczesnych problemów naszego budownictwa socjalistycznego. A przy tym szerzej, niż dotąd na ogół się spotykało, operuje ona danymi z życia naszego kraju.

Mimo to muszę stwierdzić z przykrością, że moim zdaniem artykuł jest dogmatyczny. Jak bowiem ustawił swą pracę Wiederszpil? Otóż tak: do ogólnych, bynajmniej nie oryginalnych teoretycznych rozważań o funkcjach państwa socjalistycznego, o charakterze praw ekonomicznych, ich obiektywności i możliwości, ich świadomego wykorzystania, wreszcie o działaniu i wykorzystaniu poszczególnych praw ekonomicznych socjalizmu — dopasowane zostały odpowiednio dane o ekonomice i polityce w naszym kraju. Znajdziemy więc trochę faktów o kierunkowych wytycznych polityki gospodarczej partii, o proporcjach w naszej gospodarce narodowej, o metodach planowania, o stosowanych u nas środkach materialnego zainteresowania, wykorzystywania prawa wartości itp. Powtarzam: dobrze, że te dane są. Ale źle, że nie odgrywają one tej roli, jaką powinny odgrywać fakty w pracy naukowej. Nie od nich zaczyna się u Wiederszpila proces badawczy, nie z nich wynikają uogólnienia filozoficzne. Przeciwnie, fakty dopasowywane są w charakterze przykładów do już gotowych sformułowań teoretycznych.

Taka metoda sprzeczna jest całkowicie z marksistowską teorią poznania, która — jak wiadomo — głosi: od żywego postrzeżenia — do abstrakcji — od niej znowu do praktyki. Tutaj tok rozumowania zaczyna się od abstrakcji, do niej nagina się doświadczenia i wraca się znowu... do abstrakcji. Nie może być wniosków dla praktyki z abstrakcji, które nie stanowią uogólnienia praktycznych doświadczeń.

Na pewno nie ułatwia autorowi — zrozumiałe zresztą na gruncie przyjętej metody — mówienie jednym tchem o stosunku do praw ekonomicznych tak radzieckiego, jak i polskiego państwa socjalistycznego. Zeby nie było nieporozumień. Nie przeciw temu występuję, aby nie badać w ogóle tego, co najogólniejsze, co wspólne w procesach dokonywanych się w ZSRR i krajach demokracji ludowej. Przeciwnie, badania te są konieczne m. in. i po to abyśmy wiedzieli, co czerpać wzajemnie z naszych doświadczeń. Ale równocześnie z tym konieczne jest badanie specyfiki procesów rozwojowych każdego kraju — tylko pod tym warunkiem możliwe jest w ogóle iakiejkolwiek przyswajanie doświadczeń. I tylko pod tym warunkiem możliwy jest rozwój nauki.

Spróbuję pokazać to na konkretnym przykładzie. Wspomina Wiederszpil w kilku zdaniach o stosunku państwa socjalistycznego do działania prawa koniecznej zgodności sił i stosunków wytwórczych.

Jak podstawowa jest u nas ta sprawa, wiemy wszyscy, odczuwając raz po raz dotkliwie braki w zapotrzebowaniu i źródeł ich leży właśnie gospodarzoo-organizacyjne zaoferowanie rolnictwa, tej dziedzinie gospodarki, gdzie wciąż jeszcze dominują stare stosunki wytwórcze, hamujące postęp techniczny i wzrost produkcji rolnej.

I nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, że wykorzystanie prawa ko-

niecznej zgodności dla stopniowego likwidowania tej dotkliwej sprzeczności jest dzisiaj naczelną funkcją państwa socjalistycznego i funkcją Państwa Ludowego.

Jak więc się stało, że tej głównej sprawie poświęcił Wiederszpil w omawianym artykule zaledwie kilka zdań? Jak to się stało, że nie wspomnianaw, na czym konkretnie polega działanie prawa koniecznej zgodności w naszych warunkach — gdy równocześnie dobrych parę stron poświęcił omówieniu ważnych może, ale podrzędnych w tym kontekście szczegółowych metod zapewnienia materialnego zainteresowania rolnictwu?

Czy nie należy tego położyć właśnie na karb fałszywej metody, jaką zastosował w swej pracy? To już się nie da podciągnąć pod jeden schemat zadań państwa radzieckiego i naszego państwa. Związek Radziecki już dawno osiągnął zasadniczą zgodność sił i stosunków wytwórczych.

U nas jest oczywiście inaczej. Wciąż jeszcze głośniejszy się w toku praktycznej działalności, w jaki sposób najszybciej a równocześnie najmniej boleśnie zmieniać stare stosunki społeczne w rolnictwie, przyspieszyć działanie prawa koniecznej zgodności. Wiele tu trudnych i nierozwiązanych do końca problemów teoretycznych, których oświełtenia domagają się szeregowi działacze, ofiarnie walczący o przebudowę wsi polskiej. W jaki sposób stopniowo współdziałać rolnictwo, aby nie cierpiało na tym produkcja rolna? W jaki sposób — inaczej mówiąc — godzić przyspieszone wykorzystanie prawa koniecznej zgodności z systematycznym rozszerzaniem zasięgu działania podstawowego prawa socjalizmu? W istocie rzeczy są to sprawy niesprzeczne i uzupełniające się wzajem — pod warunkiem jednak, że pozna się bardzo dokładnie i wykorzysta mechanizm działania tych praw w naszych konkretnych warunkach.

Na ile da się wykorzystać dla azyzschego uutorowania drogi prawu koniecznej zgodności inne z kolei prawo: prawo wartości? Jakże środki są niezbędne, aby nie działać przeciw prądowi kierunku — do kapitalizmu?

Kto zna nasze życie i walkę, ten wie dobrze, ile te i inne skomplikowane problemy — przysparzają trudu nie tylko terenowemu aktywowi, ale i władzom centralnym. Przełożone na język konkretnych praktyki, rozróżnia partia na swoich planach, zasięgu rady mas w ogólnonarodowych dyskusjach i to połączono doświadczenie sprawda się znowu w społecznej praktyce rewolucyjnej.

Tę złożoną praktykę należało przede wszystkim zbadać, aby mieć prawo do pisania pracy filozoficznej o stosunku naszego państwa do praw ekonomicznych. Wtedy, być może, rozważania teoretyczne zapełniłyby się żywą i twórczą treścią, uniknęłyby się bezpłodnego powtarzania tego, co powiedzieli już dosyć dawno filozofowie i ekonomiści radziecy.

Trudno powiedzieć, czy to samo podejście cechuje i dalsze części pracy tow. Wiederszpila, które omawiany artykuł jest tylko fragmentem. To jednak, co zostało opublikowane w „Myśli”, nosi piętno fałszywej metody. Artykuł ten jasno wskazuje na to, że nie wystarczy „podbierać” fakty, a trzeba je badać.

SPRAWY DO PODJĘCIA

Chciałbym zasygnalizować w charakterze przykładu trzy grupy problemów, których podjęcie wydawało mi się ważne zarówno z praktycznych, jak i teoretycznych względów. Takich problemów jest oczywiście wiele. Jeżeli wybrałem te, a nie inne, to tylko dlatego, że są mi one stosunkowo najbardziej znane.

Sprawa pierwsza: charakter sprzeczności klasowych.

Daleko niepełny np. jest nasz konkretny obraz leninowskiej trójdziejnej formuły na wsi polskiej nie mówiąc już o poszczególnych rejonach kraju. Wymienię przykładowo kil-

ka wytyrkowych problemów. Nieprawidłowe ujęcie metod walki z kulakiem narobiło nam — jak wiadomo — bardzo wiele bógus. Badania I. E. R., jak i samodzielne badania aparatu partyjnego wiele spraw wyjaśniło. Znalazło to m. in. wyraz w wytycznych IV Plenum KC. Mimo to wciąż otwarte są, powiedzmy, takie zagadnienia, jak stopień siły politycznej gospodarzo-ostabionych grup kulactwa (wiadomo, że wielu kulaków podpułdpo gospodarzo, wielu się „ześređnicza”; wymaga to zbadania, na ile zmienia się ich polityczne oddziaływanie i opracowania dostosowanych do wyniku tych badań metod politycznej walki), jak obiektywne podłożo bardzo trudnej polityki łączenia o- graniczania kulactwa z równoczesnym wykorzystaniem sprzeczności w samym kulackim obozie (tu m. in. należy problem kulackiej młodzieży) itp.

Jeżeli idzie o oparcie się o biedotę — nasze rozumienie teoretyczne jest jeszcze słabsze. Jakie oparcie znajdujemy w tej grupie biedoty, która pod względem poziomu życia przestała być biedotą w ścisłym tego słowa znaczeniu, a żyje sobie całkiem zamożnie? Na ile fakt wyswobodenia się z biedy wzmoćnił nasz polityczny wpływ na tę grupę, na ile osłabił jej klasową bojowość? Są to przeważnie chłopci pracujący w pobliskich zakładach przemysłowych: w jakim stopniu oddziałuje na nich klasa robotnicza, a w jakim kulak, który zarazem wyszukuje ekonomiczną słabość ich gospodarstwa?

A z drugiej strony, jaka jest polityczna postawa — wobec klasy robotniczej i wobec kulactwa — tej grupy biedoty, która wciąż jeszcze tkwi w biedzie? W jakich warunkach bieda mobilizuje ją przeciw kulactwu, które wyszysk bywa tu jeszcze bardzo okrutny, a w jakim (bo i to się zdarza) przeciw Ludowemu Państwu, które nie potrafiło jej w dostatecznej mierze przed tym wyszyskiem ochronić? Jakie niewykorzystane dołd możliwości gospodarczego poparcia biedoty wynikała z konkretnego działania praw ekonomicznych w Polsce? Specyfika nasza jest tutaj bardzo wyraźna. Partia bolszewicka w okresie przedpowszechno kolektywizacją nie była w stanie z pełnym rozmachem materialnie poprzeć indywidualnych gospodarstw biedniackich, u nas obiektywne możliwości są daleko szersze (zwłaszcza w zakresie mechanizacji).

Częściowo wyciągnięte zostały już z tego wnioski, zwłaszcza IV Plenum zaproponowało szereg konkretnych posunięć. Warto przesiędzić, jakie jest ich oddziaływanie i jakie stąd płyną dalsze wnioski. Oczywiście, sprawa ta ma poważne konsekwencje i dla teorii metod kolektywizacji — warto zastanowić się i nad tym problemem.

SPRAWA DRUGA:

STOSUNEK EKONOMICKI DO POLITYKI

Pisze się u nas o prymacie polityki. Pisze się ogólnikowo. A tymczasem w praktyce mamy do czynienia z takim uproszczonym pojmowaniem tego prymatu, jak awanturnicze próby likwidacji kulactwa w szeregu powiatach kraju. „Kulak — to wróg — trzeba go niszczyć, nie zważając na pewne straty w produkcji” — tak rozumieli niektórzy towarzysze prymat polityki nad ekonomiką. Rezultat: straty tysięcy ton zboża w warunkach, gdy produkcja kulackiej nie jest jeszcze w stanie zastąpić produkcji socjalistycznego rolnictwa.

A z drugiej strony, ileż to mamy wypadków ułatwiania sobie życia, bagatelizowania w praktyce elementarnych zasad polityki partii — byłoby tylko łatwiej doraznie podnieść produkcję? Bardzo znaną sprawą kontraktacji przedwojennych dla chłopów roślin przemysłowych. O ile łatwiej jest zakontraktować większy areal u kulaka, niż drobne skrawki

na gospodarstwach biedniackich, o ile większa (na razie) z tego produkcja! W rezultacie kontraktacja — połączny środek poparcia ekonomicznego biedoty — w gospodarstwach małorolnych rozwinęła jest dotąd bardzo słabo. Ekonomika wzięła tu górę nad polityką, a warto dodać, że niemając w tym rolę odegrały zarządzenia centralne (agencje kontraktacji otrzymywali premie tylko od arealu, a nie od ilości objętych kontraktacją gospodarstw). Inny przykład: w tym roku na wiosnę wobec poważnych braków zbożowych wprowadzony został tak zwany wiązany skup zboża: skupowało się je w zamian za deficytowe czy trudne do otrzymania artykuły przemysłowe. Do spisu towarów, osiągalnych tylko za zboże, włączono z początku i buty gumowe. Bilo to bardzo mocno w biedotę, która — nie posiadając nadwyżek zbożowych — musiałaby w czasie roztopów obejść się bez gumowego obuwia. I tu znowu ekonomika wzięła górę nad polityką: trzeba było, aby biedota mocno się odezwała — i wtedy dopiero rzucono buty gumowe z powrotem na wolny rynek.

Po co podaje te przykłady? Aby pokazać, jak trudno w naszych warunkach — gdy odczuwamy wciąż brak dostatków żywności — utrzymać prymat polityki nad ekonomiką. Ale utrzymać go trzeba, aby nie zakłócić stosunków między klasą robotniczą a jej sojusznikiem — pracującym chłopstwem, aby zapewnić nie tylko doraznie ale stały, systematyczny wzrost produkcji rolnej.

Jak to robić, jakie są obiektywne przesłanki prymatu polityki w konkretnych przejawach naszego życia — w rozwiązywaniu tych trudnych problemów pomód powinny rzetelne badania naukowe. A wtedy i teoria stosunku ekonomiki do polityki naberze rumieńców życia.

Warto pokazać wreszcie, na czym w istocie polega konkretna twórcza rola mas, o której się tyle pisze sloganów. Warto pokazać i to, co sprzyja zwiększeniu tej roli, a co ją hamuje, w jaki sposób, jakimi drogami rozwijające się toczona przez partię walka o przełamanie sprzeczności pomiędzy biurokratycznymi tendencjami aparatu państwowego a rosnącą dojrzałością mas. Warto wreszcie śmiało odkrywać te bolesne miejsca naszego życia, gdzie rola mas jest wciąż prawie żadna.

Ważny budownictwo — ileż w nim jeszcze dotkliwych braków i bezduszności! Wżmy handel: ile marnotrawstwa, oszustwa, lekceważenia potrzeb ludności! Wydaje się, że uruchomienie inicjatywy i kontroli mas również i w tych dziedzinach rozwiązałoby nam co najmniej połowę trudności. A w rozmowach spotkałem się i z takimi projektami: przed rozpoczęciem budowy domu przedyskutować plan z ludnością, na sklepy puszczać kontrolne brygady kobiece... Myślę, że i te i inne przejawy twórczej inicjatywy mas powinna śledzić i uogólniać również i nasza filozofia. Myślę, że warto, aby zaczęła badać, co same masy myślą o zwiększeniu swej roli, o metodach łączenia oddębnej kontroli z oddolną — tej swoistej cechy — naszego ustroju. Wyniki tych badań i oparcie na nich uogólnienia mogłyby okazać się bardzo ciekawe i użyteczne.

Czytamy w prasie o systemie jugosłowiańskim. Trudno się z nim zgodzić ze względu na konsekwencje, jakie pociąga on dla kierowania całością gospodarki narodowej, a zwłaszcza — dla kierowniczej roli przemysłu i klasy robotniczej. Mimo to nasuwa się myśl, czy w systemie tym rola załogi w bezpośrednim współzrządzeniu zakładem przemysłowym nie jest faktycznie większa, niż aktualnie u nas. Czy nie wynika stąd konieczność zbadania obiektywnych możliwości zwiększenia tej roli, tkwiących w naszym systemie gospodarczym? Dla mnie osobiste nie ulega wątpliwości, że są one nie mniejsze niż w systemie jugosłowiańskim — pełne urzeczywistnienie ich jednak wymaga pewnych korektur

metod naszego kierownictwa gospodarczego i politycznego, a uprzednio znowu rzetelnych badań.

Dotychczas, gdy mowa w naszych pracach filozoficznych o roli mas, pojmowanie jej ogranicza się na ogół do tego, że masy świadomie uprawiają w ruch plan gospodarczy, że mają bezpośredni dostęp do rządów dzięki systemowi rad, że szerzej — niż kiedykolwiek dotąd — biorą udział w kulturze narodowej. Pewne jest, że w takim ujmowaniu sprawy tkwi poważne zawężenie i że dużo tu jeszcze do roboty dla naszej filozofii.

GLÓWNE OGNIWO CZY „KAMIEŃ FILOZOFICZNY”

Wysuwa się często na pierwszy plan trudności metodologiczne. Są trudności materialowe. Prawda. Ale warto zwrócić uwagę, że szereg źródeł materialowych nie jest dotąd przez naszą filozofię wykorzystanych — bogate już zbiory materiałów I. E. R., ogromne archiwa listów robotniczych i chłopieckich, którymi rozporządzają nasze redakcje. Materiał ten — moim zdaniem — daje podstawy do szeregu wartygodnych naukowych wniosków (od tej sprawy wróć jeszcze w osobnym artykule). Wydaje się również (mówię tak z własnego doświadczenia), że nasze redakcje mogłyby podjąć się szeregu zadań, ułatwiających zbieranie naukowego materiału. Trzeba tylko wyjść do nich z inicjatywą.

Są trudności szersze, ściśle metodologiczne. Mówi się np. ostatnio o niewystarczalności kategorii marksizmu do konkretnych badań społecznych, mówi się nawet o kryzysie metodologicznym — socjologii marksistowskiej.

Co do mnie jestem głęboko przekonany, że nie metodologicznie to wcale kryzys. Doświadczenie historyczne wskazuje, że metodologia marksistowska wytrzymała nie takie próby. Ale żadna — najlepsza nawet — metoda nie pomoże, gdy się przelewa z pustego w próżnię, Dlatego proponuję: dyskusję metodologiczną odłożyć na razie na bok — do czasu, gdy wyłonią się już płodne problemy metodologiczne w procesie badania faktów.

Markistą — wbrew temu, co sugerują niektórzy gabinetowi filozofowie — nie jest na pewno ten, kto tylko ogląda życie z wyżyn osiągniętego dorobku teoretycznego. Włdok z góry daje wprawdzie najszerszą perspektywę, ale zaciera osię kontury życia. Dla marksisty również ważne jest więc spojrzenie od dołu, oczyma samych mas tworzących historię.

I dopiero te dwa spojrzenia — razem wzięte — stanowią o sile nauki marksistowskiej. Złączyć je w jedno, spoiste spojrzenie, płodne zarówno w nowe odkrywcze sformułowania teoretyczne, jak i w celne praktyczne wnioski — oto jest, moim zdaniem, najważniejsze obecnie zadanie naszego frontu filozoficznego.

Można je nazwać również głównym ogniwem w procesie posuwania naprzód nauki, a tak samo — w procesie kształcenia kadr. Nie sądzę, aby postawienie sprawy w ten sposób przypominało poszukiwanie metafizycznego „kamienia filozoficznego” — jak to określił w swym niedawnym artykule prof. Hochfeld. Przeciwnie, wydaje mi się, że dla dobrej nauki i praktyki główne ogniwo trzeba określić jak najszybciej i możliwie najbardziej precyzyjnie. Czy trafnie zostało ono określone w tym artykule — jest rzeczą dyskusyjną.

JAN DANECKI

JERZY OSKARDY

WIECEJ UWAGI O SPRAWACH WZEMSKIM

Należę do tego pokolenia, które opuszczało mury uniwersyteckie przed paroma laty. Nauka marksizmu-leninizmu panowała już wtedy niepodzielnie na wyższych uczelniach. Egzaminy z marksizmu zdawało się rokrocznie, nieraz dwa razy do roku. Poza tym każdy szanujący się profesor poprzedzał swój przedmiot wykładem marksizmu.

Marksistowskiej nauce o bazie i nadbudowie zawdzięczał nabycie umiejętności, którą uważam za jedną z najcenniejszych jakimi dysponuję. Jest to umiejętność syntetycznego rozumowania, umiejętność wyprowadzania syntetycznych wniosków w dziedzinie nadbudowy w oparciu o analityczne zbadanie zjawisk wchodzących w zakres bazy.

Osobiście interesuję się gospodarstwem — społeczną sytuacją świata oraz prawami rządzącymi rozwojem społeczeństw. Z pasją czytało się analityczne opisy walk klasowych we Francji, czy wydarzeń 18 Brumaire'a albo słynny „Imperializm” Lenina. Rarzewskie fakty prosię panów redaktorów — nie nuż. Praca odkrywająca prawdy ma w sobie przyciągającą moc.

Chyba nie mniej niż trzy czwarte „Imperializmu” poświęcił Lenin analityce kapitalistycznej bazy: opisu stanu produkcji w omawianych państwach, rozwojowi przedsiębiorstw, koncentracji, interesom gospodarczym, zarobkom, tabelom, stosunkom produkcji. Z materiału faktycznego wyprowadzane są dopiero wnioski: krótkie i zwięzłe.

Taką metodą pracowali klasycy marksizmu nad wykryciem prawidłowości rozwoju społeczeństw. Leninowi — tytanowi pracy państwowej nie brakło jednak czasu na sumienne badanie faktów w

działalności publicystycznej. Toteż może on służyć za wzór współczesnym publicystom.

Postawmy zasadnicze pytanie: Dlaczego nasza prasa nie zawsze potrafi właściwie i głęboko pisać o kwestiach zasadniczych — bo związanych z gospodarką Polski i świata?

Dochodzi do tego, że my, ludzie wykształceni na materializmie historycznym, jesteśmy karmieni frazesami z kręgu nadbudowy, podczas kiedy baza, kiedy żmudna codzienna praca nad opanowaniem bazy — jest zarezerwowana dla nielicznych wtajemniczonych, przed czytelnikami zaś bywa przemilczana jak jakieś tabu.

Oczywiście wartościowe materiały o sytuacji gospodarczej, społecznej i kulturalnej Związku Radzieckiego otrzymujemy od prasy dość regularnie.

Informacja z dalekowschodnich krajów typu socjalistycznego jest u nas jednak jeszcze zbyt powierzchowna. Odnosi się to także do szeregu państw demokratycznych Europy wschodniej. Bez wątpienia istnieje silne zapotrzebowanie społeczne zwłaszcza na reportaż z Chin i Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Nowe stanowisko mocarstwa chińskiego na arenie międzynarodowej, jeśli ma być u nas zrozumiane, musi znaleźć wyraz w solidnych reportażach ujmujących całokształt problemu. Cóż to za wielka droga, która prowadzi od warkocz, 1000-letnich komentarzy i kultu niezliczonych przedków — do powstania nowoczesnego państwa.

Z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, kraju budzącego powszechne sympatie i zainteresowanie Polaków, otrzymujemy zbyt mało wiadomości. Coś tam słyszy się o Maxhütte i odbudowie Lipska,

ale dla zrozumienia sytuacji NRD potrzebny jest także źródłowy reportaż gospodarczy, który by wytłumaczył w jaki sposób ten kraj niezłodny, według opinii Zachodu do samostanowienia życia, osiąga coraz to nowe sukcesy.

Widziałem ostatnio doskonale i szczegółowe atlasy świata wraz z dodatkami statystycznymi wydane w NRD i Czechosłowacji. Słusznie mówi się, że byłby już czas wobec zbawionego „ducha” Genewy, wznowić wydawnictwo rocznika statystycznego i wypełnić białe plamy w polskich rubrykach wydawnictw statystycznych ONZ. Podobnie nadszedł już chyba po jedenastu latach czas, aby wydać dobry atlas Polski... I nie tylko Polski. (Nie mogą bowiem pokryć zapotrzebowania wydawane ostatnio atlasy świata i mapy Polski, które są dostosowane do potrzeb szkół powszechnych).

Postawmy jasno sprawę. Dopuściliśmy do powstania poważnych luk w wiadomościach ludzi, zwłaszcza, gdy idzie o państwa kapitalistyczne.

W pierwszych latach niepodległości nasza publicystyka dokonała dużego i skutecznego wysiłku. Prasa zamieszczała wspaniałe reportaży ze wszystkich stron świata. Rozwijali się twórcy polemiki. W jej ogniu formowała się opinia polityczna narodu. Wypracowany tą drogą realizm nie pozostał bez wpływu, kiedy podejmowano decyzje odrzucenia marshallowskiej pomocy i oparcia planu odbudowy o pomoc ze Wschodu. W następstwie przysły sukcesy. Równocześnie narastała zimna wojna. W tym to okresie przyjęto w naszych redakcjach za wytyczną oczywisty sofizm: ponieważ niektóre państwa kapitalistyczne rozwijają się, trzeba ich przemianę przemilczać pisząc rów-

nocześnie o własnych sukcesach. Z tą właśnie chwilą zaczęło się parolenie frazesów. Skutki? Zastraszające!

Nie potrzeba w publikacjach zapowiadać kryzysu w USA, skoro znamy wszyscy prawidłowości rozwojowe kapitalizmu i wiemy z jednej strony, że procesy historyczne następują powoli. Z drugiej zaś wiadomo, że USA korzystają dzisiaj z największej koniunktury zbrojenowej w swych dziejach. Potrzebujemy zamiast frazesów rzetelnej informacji o najnowszych metodach przemysłowych, o systemach plac, zarobkach, organizacji przedsiębiorstw, o sposobie rozdzielania zamówień rządowych, o eksporcie i jego znaczeniu, o trudnościach i osiągnięciach w amerykańskim rolnictwie, o systemie podatkowym — słowem o tym co zwie się bazą gospodarczą USA.

Nie wystarczy pisać o ponadpaństwowej Europejskiej Wspólnocie Węgla i Stali jako dowodzie, że burżuazja zdradza interesy swoich narodów zaprzeczając państwową suwerenność. Trzeba pisać i o tym, że powstał po raz pierwszy w kapitalistycznej Europie wspólny rynek 6 państw, że tona węgla czy stali kosztuje dzisiaj tyle samo we Włoszech, Niemczech, czy Francji, że istnieje wspólne kierownictwo przedsiębiorstw. Poza tym, że planuje się rozszerzenie tego rynku na rolnictwo, że nawet debatowano ostatnio w Wiedniu nad wprowadzeniem wspólnej waluty. To są fakty, a kto o nich w Polsce czytał? Są to wydarzenia mające stworzyć zaplecze militarnemu atlantyckiego, tym bardziej więc musimy o nich wiedzieć, bo bez tego nie zrozumiemy jednolitego frontu burżuazyjnych przywódców sześciu krajów np. w sprawie remilitaryzacji Niemiec.

Pragniemy faktów o gospodarce Niemiec Zachodnich. Nurtuje nas pytanie: jakim cudem są one zdolne wyżywić pięćdziesiąt milionów ludzi? Prasa pisze dużo o neohitlerizmie, remilitaryzacji, o koncentracji w przemyśle, o koncentracji i oligarchii finansowej. I dobrze, że jesteśmy o tych sprawach informowani. Jednak na postawione pytanie w naszej prasie nie znajdujemy odpowiedzi. A sprawa jest prosta. W tym samym czasie kiedy budżety dawnych aliantów uginają się pod ciężarem zbrojeń, Republika Związkowa nie ponosiła do niedawna żadnych wydatków zbrojenowych. USA same uzbrajały niemieckiego sojusznika. Oto tło tzw. niemieckiego cudu gospodarczego.

Zrozumiano u nas na ogół potrzebę nawiązania stosunków z całym Niemciami, a więc także i z Zachodnimi. Ale ta potrzeba nabiera w naszej świadomości rumieńców życia dopiero wtedy, gdy dowiadujemy się, że niemieckie firmy wypierają angielskie towary z rynków Ameryki Południowej, bliskiego Wschodu, że niemieckie oferty na elektryfikację pokaźnych rejonów Indii zostaną przyjęte po odrzuceniu szeregu innych ofert, między innymi amerykańskich, że nawet w Korei Lysynnana niemieckie firmy protestowały ostatnio przeciw fiskalnemu szyskanom.

Kola gospodarze w Niemczech Zachodnich dobrze rozumieją sytuację swego kraju. Stwierdziłszy to na targach w Poznaniu. Oni muszą nieustannie prowadzić ciężką konkurencyjną walkę z kapitalistycznymi państwami o rynki. Wykorzystują każdą szczelinę, aby wypchnąć swoje towary za granicę. Jednak pokonane Niemcy mogą skutecznie prowadzić tę walkę o życiodajny eksport tylko w czasie pokoju i dopóty ich gospodarka nie

jest jeszcze nastawiona na wojnę. Nasza propaganda powinna chyba przypominać tę doniosłą dla Niemców prawdę.

Dziwne jest stanowisko naszej publicystyki w tej arcyważnej dla Polski sprawie, a właściwie brak stanowiska, jakże różny od aktywności z pierwszych dni pokoju. Wtedy to Osmańczyk wydawał „Sprawy Polaków”, książkę konkretną, opartą o realistyczną analizę możliwości Polski i Niemiec we wzajemnej konkurencji.

Wiadomo z czerwowego komunikatu TASS-a, że ZSRR zaproponował Niemcom Zachodnim między innymi nawiązanie stosunków gospodarczych. Nota sugeruje, że wzajemna wymiana handlowa mogłaby sięgnąć piątej części ogólnych obrotów zagranicznych zarówno ZSRR jak i Niemiec. Realistyczna polityka radziecka stwarza perspektywę rozbrojenia długimi rynkami Wschodu ekonomicznej presji kilkunastu milionów Niemców. Publicystyka polska milczy jednak, choć dla Polski perspektywa ta ma pierwszorzędne znaczenie.

Ostatnio w Moskwie miała miejsce słynna w całym świecie polemika Chruszczowa z Adenauerem. Jej wniosek: że choć o przeszłości trzeba pamiętać to jednak nie wolno, aby ona ciążyła na układaniu przyszłości. Publicystyka polska, przyzwyczajona — gdy idzie o Niemcy — do rozpatrywania potwornej przeszłości, milczy i w tej sprawie. Jesteśmy narodem prężnym i młodym, spożyłamy więc w przyszłość odważnie. Nie naśladowy III Republiki Francuskiej, której dwudziestolecie upłynęło nad rozmarzaniem grobów Verdun. Nie naśladowy IV republiki, w której nagrodą Goncourtów wyróżnia się

(Dokończenie na str. 6)

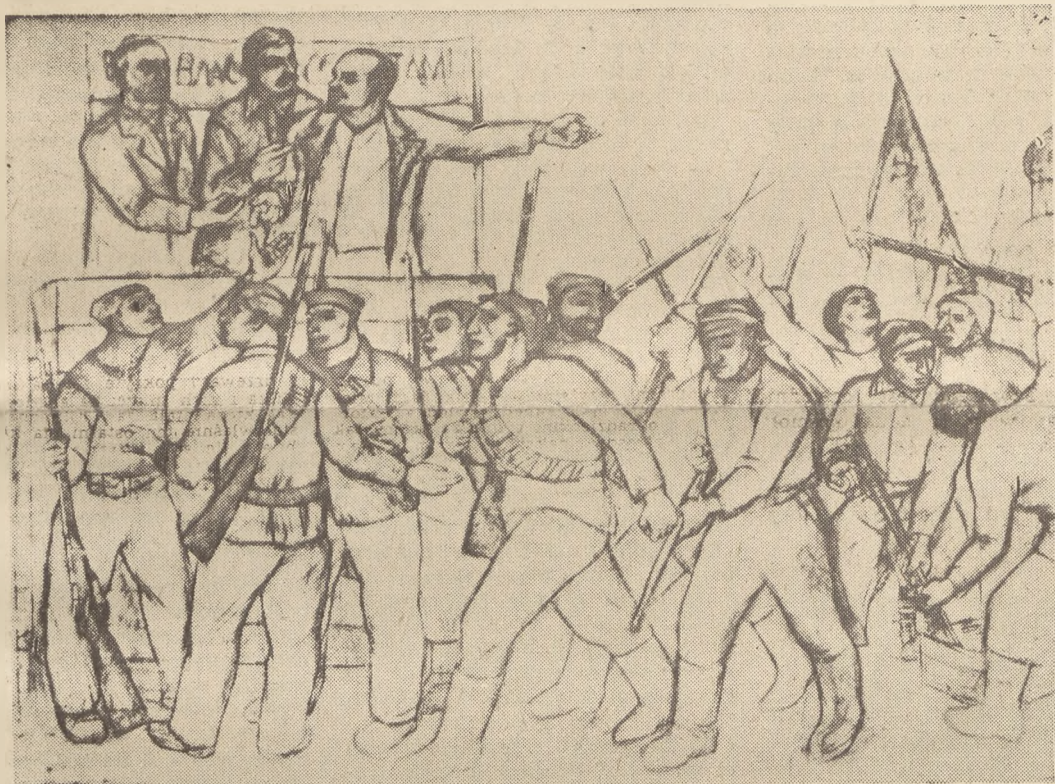
XXXVIII

Z PRACOWNI
MŁODYCH



150 000 000

JAN DZIĘDZIORA



I. CELNIKIER
Październik
Karton do fresku

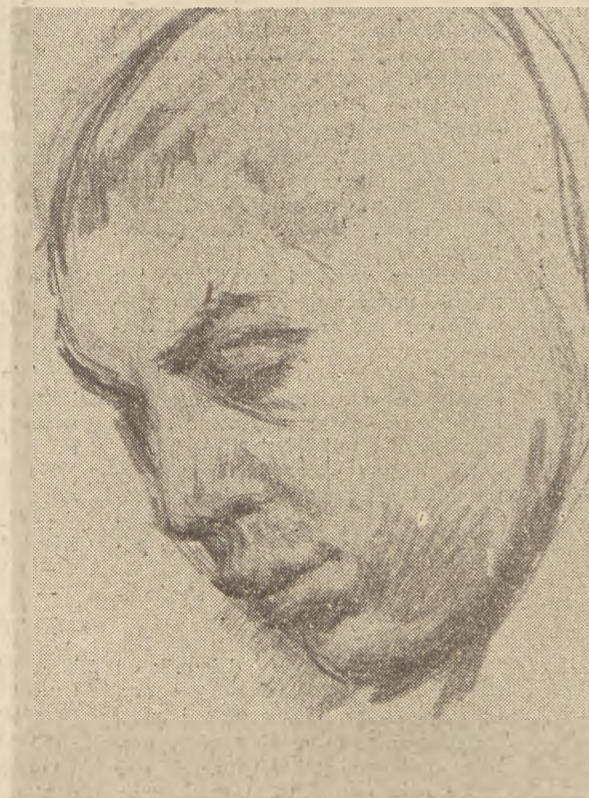


Wyzwolenie
z Oświęcimia



Kożedo

M. OBERLÄNDER



JACEK
SIENNICKI

Głowa
żołnierza

Moszek

Gdy ma się dwanaście lat — uśmiech politowania towarzyszy spojrzeń na okres „dzieciństwa” — z pogardą wspomina się pierwszą miłość: siedmioletnią Marcie o długich lokach i bardzo krzywych nogach. Że Marcia ma krzywe nogi spostrzegło się dopiero teraz.

Gdy ma się dwanaście lat — zażenowanie towarzyszy oglądaniu wczesnej „twórczości” malarskiej: niebieskim ołówkiem nabazgrany chichoczący szkielec z wydętym brzuchem. Nad czerepem wiją się czerwone spirale strąków — wyjątkowo położenie określa, że to są włosy. Pod spodem, pijanymi literami nabrzmiały niezdamny staramiem: Mrcia Marcja Marcia.

Gdy ma się dwanaście lat do rzędu nierozwiązalnych problemów należy pytanie: co robić, gdy naprzeciwko idzie znajoma koleżanka lub ojciec czy matka kolegi. Udać, że się nie widzi, czy przejść na drugą stronę ulicy? A może zawrócić? Nie przychodzi w ogóle do głowy myśl, że można się uklonić.

Dwanaście lat. Powietrze pachnie wakacjami. Nieobesznie po nocnym deszczu chodniki parują, niebo przegląda się w szaro-błękitnych kałużach.

Tylko mnie jest smutno, smętnie i niedobrze.

Poniedziałek. Idę do szkoły. Nie wiem, co mnie czeka. Czy już wiedzą o mojej nieobecności na rekolekcjach, czy też Lipiński dopiero dziś odda listę księdzu?

Nie wiem, nawet nie chcę wiedzieć i myśleć o tym. Nogi same wiodą mnie znanymi ulicami: prosto, w prawo, znowu w prawo i przez plac, na ukos szeroka aleja. Płaki ćwierkają między zieleniąjącymi gałęziami. Zadzieram wysoko głowę i idę na „ślepo”. Nade mną jedynie błękit. Świat pod spodem zaczyna się obracać, kręcić, wirować. To mnie się kręci w głowie.

— Coś ty, Andrzej? Chcesz łeb rozwalić? — pyta doganiający mnie z tyłu Syrek.

Syrek ma na sobie barani kożuch, mimo że mija już połowa kwietnia. Na rękach naciągnięte rękawiczki, na plecach częściutki tornister bez jednej plamki. Idąc wywija płóciennym czarnym workiem, w którym oprócz pantofli gimnastycznych na pewno ma kłębek sznurka. Syrek gdzie może bawi się swoim sznurkiem. Robi z niego plecionki, siatki, które za jednym szarpnięciem zmieniają się znowu na zwykły sznurek, pokazuje niezliczone węzły każąc innym naśladować, chociaż nikt nie ma na to ochoty. Syrka nikt jeszcze nie widział bez kłębka sznurka, a dopiero od niedawna widuje się go bez matki. Jeszcze do półroczu odprowadzała go do szkoły. Trzymała syna za rękę a on przyszywał oczy. Może myślał, że go wtedy mniej dotknął pogardliwe spojrzenie kolegów.

— Fajnie wczoraj było, co? — pyta Syrek. Nie mam pojęcia o czym mówi. — Jak zapalili te wszystkie świece, to aż mi się wewnątrz zrobiło gorąco i zacząłem płakać. Ja chyba zostanę księdzem — konkluduje z wielką powagą.

Syrek nigdy nie został księdzem. Gdy skończył gimnazjum wstąpił do szkoły podchorążych. Zawodowej. Chciał zostać lekarzem wojskowym. Nie zdążył. Wybuchła wojna. Syrek wrócił do domu. W czasie okupacji powoził konną platformą, której właściciel podejmował się podejrzanym transakcji mebliowych. Rodzice jego umarli, Syrek został sam z czterema jamnikami i sześciopokojową willą. Potem z woli zostały ruiny. Syrek sprzedał ruiny. Połowę przepił, połowę mu ukradli po pijanemu. Nie został już ani księdzem, ani lekarzem. Jest, żyje i przeklina siebie.

Ale wtedy wonne kadzidło, wzniosły, zatechły nastroj rozpalonego świecami kościoła, sennie falujący tłum, objajające się głuchym echem słowa z ambon podziały na niego tak, jak niegdyś na mnie w czasie pierwszej komunii. Na lekcji religii wodził półbiednym wzrokiem za każdym ruchem ręki księdza prefekta, wyrwał się z odpowiedzi, gdy ktoś inny nie potrafił czegoś wyjaśnić, całował księżę rękaw, służył gorliwie do mszy.

— Matka pewno nie będzie chciała się zgodzić, ale ja ucieknę z domu — snuł romantyczne plany wywijające koło mnie workiem z pantoflami. — Wiesz, dotrzymałem prawie czterdzięci minut.

— Coś dotrzymał?

— Opatka. Musiałem oddychać przez usta, bo by inaczej zupełnie rozniekła. Ale dłużej nie mogłem. Zupełnie mi wyschło. A ty?

— Co ja?

— No, ileś dotrzymał?

— Wcale.

— Od razu połknąłeś? Przecież ksiądz mówił, że tak nie można.

— Nie polykałem.

— A jak?

— Nie byłem u komunii.

— Nie byłes?!

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo nie.

— Ee, powiedz naprawdę!

— Mówię ci przecież.

— Bujasz.

— Wypchaj się i pomaluj na zielono.

Czego się rzucasz, czego? — wielką łapą w rękawicze pchnął mnie mocno w jakąś kałużę.

— Odczep się ode mnie!

— A, idź sobie do diabła! — wyróżnął mnie przez plecy workiem i śmiejąc się odszedł nie próbując dociekać przyczyn mojego niepójścia do komunii.

Zostałem sam. Tuż przede mną wznosił się, jak bokiem postawione pudełko zapalek, gmach szkolny. Paru chłopców na podwórzu kopalo piłkę, parę głów wychylało się z otwartego okna na drugim piętrze, puszczając papierowe strzały i nieudolność się wydzierając.

Ostatni zakręt, mała furtka obciążona siatką, oszklone drzwi, przedsionek, mroczna szatnia pełna kurzu, gwar rozmów.

Pierwszy dzwonek. Tupot po schodach. Szybko do klasy na swoje miejsce. Rudy Felek — woźny z pierwszego piętra — trzyma palec na żelaznym przycisku i patrzy na metalową cebulę: za minutę drugi dzwonek.

— Bonjour, mes eleves? — do klasy wchodzi „Wandzia”.

— Bonjour, mademoiselle! — ryczy pół klasy, bo druga połowa poszła do sąsiedniej sali na niemiecki.

„Wandzia” jest bardzo stara. Może ma już z trzydzieści lat. Opowiadają o niej straszne rzeczy. Ale nie wiadomo czy to jest prawda. Może tak, a może i nie. „Wandzia” była podobno zakonnicą w jakimś klasztorze we Francji. A potem podobno uciekła. Po co szła do klasztoru, jeśli miała zamiar uciekać? Nie wiadomo. Uciekła i przyjechała do Polski, i uczy francuskiego. Niekiedy mówi, że ona jest ładna. Dla mnie nie. W każdym razie widuję ją czasami po południu z tym lekarzem, który nas bada w szkolnym ambulatorium.

„Wandzia” jest szczupła i niska. Ubrana zawsze porządnie i elegancko. Roznosi za sobą ciekliwą woń perfum. Coś musi być w tej całej jej historii, ponieważ ona i Pomidor mijają się zawsze sztywno i nigdy nie witają. Pomidor nawet nie mówi jej dzień dobry, a przecież dla wszystkich innych jest taki grzeczny, jakby naprawdę chciał im nieba przychylić.

Jestem dzisiaj pierwszą ofiarą: mam odmieniać — je suis, tu es, il est, elle est, nous sommes, vous... vous... vous...

Siadać; niedostatecznie. Ale przecież ja wiem! Za późno, zamyśliłem się patrząc w czerń tablicy — tak samo czarna wydawała mi się moja przyszłość. Złamałem jakieś potężne prawo, naraziłem się nieuchwytną siłą, która wpłata się i decyduje o losie każdego z uczniów. Ksiądz przecież wyraźnie powiedział: „Dobrym uczniem może być tylko dobry katolik. Świątym obywatelem może być tylko dobry katolik”. Patrzę na ciemną głowę Matusika. Matusik jest protestantem, chodzi na lekcje religii do Reja. W zeszłym tygodniu mówił, że rodzice jego dali dwadzieścia złotych na poczęcie nowego krzyża na ich kościele. Matusik dwa razy do roku przynosi zaświadczenie od swojego pastora, że ma piątkę z religii. Ale on nie potrzebuje chodzić do takiej spowiedzi jak my. Sam mi to powiedział.

Następna godzina to właśnie Pomidor. Na chwilę wlatuje Herszfinkiel, żeby zabrać książkę do czytania, ale jeszcze szybciej wylatuje goniony okrzykami: „Diabeł, zwiadać diabła, podciąć mu gardło! Krrr!”

Pomidor wchodzi do klasy, jak zwykle uśmiechnięty, staje na podwyższeniu pod tablicą, dziennik kładzie na pulpicie.

— Pomódmy się, chłopcy! — składa ręce i beznamiętnym głosem automatu zaczyna recytować słowa modlitwy.

Wstajemy i wtórujemy mu, równie beznamiętnie, równie mechanicznie. Wybija się tylko głos Syrka. Nie widzę go, ale wiem, że policzki i oczy mu płoną.

Szuranie nóg, modlitwa skończona, siadamy.

Teraz...

Pomidor rozkłada dziennik i sprawdza obecność. Gertner chory, Lipiński chory, reszta obecni.

Sekundy walą w skroniach, wykręcał palec pod ławką. Muszę być chyba czerwony, jak piwonie. No?

Ksiądz wstaje, nowiutka sutanna szeleści. Wchodzi między ławki, przgląda się nara, rozdaje uśmie-

chy, głodzi czupryny. Staje koło mnie i klepie dobrotliwie po plecach.

Co to wszystko znaczy?

Stoję wobec zagadki, której nie jestem w stanie rozwiązać. Przecież musiał dowiedzieć się od Lipińskiego, że nie byłem na rekolekcjach. Lipiński chory? Ale od kiedy?

Dziś nie ma pytania: „Czy byłeś w niedzielę na mszy?” Dziś ceremoniał jest znacznie ważniejszy.

Pomidor po raz drugi wyczytuje nazwiska, tym razem z czarnego zeszytu. Wywołani podchodzą i oddają niebieskie kartki. Dowody odbycia spowiedzi. Ksiądz czyta szybko, nim jeden wróci na miejsce, już idzie z kartką następną.

W głowie czuję pustkę i szum. Wyje jakiś wicher, wydychuje każdą myśl. Krasowski, Krzyski, Łowicki, Matusik...

Potem moje nazwisko. Nie ruszam się, zastygam. Ksiądz nie zwraca na to uwagi, wyczytuje następne nazwisko. Leszek.

Leszek wstaje, idzie do pulpitu, składa dwie niebieskie kartki. „Ja i Orlicki” — mówi. — Jego noga boli”. Ksiądz kiwa głową i czyta dalej.

Jeszcze nie rozumiem co się stało. Leszek wraca na miejsce i mruga do mnie porozumiewawczo.

Jakiś ciężar spada mi z serca. Mimo wszystko ja chcę dalej się uczyć i chodzić do tej szkoły. Wcale nie pragnę, by mnie wyrzucili.

Na pauzie zostaje na miejscu. Brak mi ochoty i sił, żeby wstać i wyjść.

Podchodzi Leszek, wali mnie w plecy.

— Dawaj klisze.

— Jakże klisze?

— No, jesteś mi dużo winien.

Leszek liczy na palcach: Lipiński za każdy dzień wciągania ciał na listę po osiem piątek, to razem dwadzieścia cztery, kartka dziesięć piątek, to już trzydzieści cztery. Mnie dasz tylko sześć dla równego rachunku.

— Nie mam tyle przy sobie...

— Przynieś jutro, tylko nie zapomnij...

Przyniosę mu klisze, przyniosę, ale coś się zaczyna ze mną dziać dziwnego. Jestem zły na siebie, coraz bardziej zły. Przecież złąkłem się własnego zwycięstwa. Na marne poszedł cały wysiłek, na marne poszła decyzja powzięta po ciężkiej walce. Złąkłem się i w rezultacie stało się to, co mogłem sam z ła-

— Gdzie mam przyjść?

— Do mnie do domu — Teraz z kolei Herszfinkiel czuje się nieswo-

— Ojciec mówił, żebym kiedy zaprosił kolegów — katolików. Ale ja chcę zaprosić tylko ciebie. Kogo ja więcej mogę zaprosić? Będzie Janek Sterling. Przyjdiesz?

— Przyjdę.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Bo widzisz, jeśli byś miał nie przyjść to ja muszę znaleźć kogoś innego. Ojciec by się dziwił, dlaczego nikt nie przyszedł. A potem by mnie stąd chciał zabrać. A ja nie chcę iść do innej szkoły.

— Dlaczego nie chcesz?

— Do innej państwowej się nie dostanę. Już tutaj był fuks. W innej, prywatnej, trzeba płacić bardzo dużo. Ojciec nie ma pieniędzy. Wszystko idzie na Basię... Basia to moja siostra, młodszą siostrą. Ona jest sparaliżowana od ośmiu lat.

— Masz więcej siostr?

— Jeszcze cztery.

— Ojej, sam jeden na cztery dziewczyny.

— Nie, jeszcze mam pięciu bra-

ci...

— Co? Jest was razem dziesięć-cio-ro?

— Tak.

— Co robi twój ojciec?

— Buty. Bardzo ładne buty. Mój ojciec może ci kiedy zrobić buty.

— Mnie zawsze kupują gotowe.

— Nic nie szkodzi, raz możesz mieć zrobione na miarę. Zobacysz, będziesz chciał, to dobrze. Nie będziesz chciał, drugie dobrze.

— Słuchaj, Moszek, powiedz, co ty byś zrobił na moim miejscu z tymi rekolekcjami? Oddałbyś kartkę kupioną za klisze? Teraz już możesz powiedzieć, sprawa skończona.

Moszek zamyślił się głęboko.

— Widzisz, ty chcesz skończyć szkołę, prawdę?

— Chcę.

— To ty musisz robić, jak każą, bo cię inaczej wyrzucą. Co tobie przyjdzie z tego, że zrobisz z siebie bohatera? Nic. To ty siedz cicho, rób co trzeba, a myśl swoje. Jak skończysz naukę, to wtedy postaraj się, żeby się wszystko zmieniło. Tylko się ucz. No, jeśli cię wyrzucą ze szkoły, to zostaniesz głupi, bo gdzie pójdziesz? Do klasztoru? Więc teraz siedz cicho i rób wszystko cicho, żeby nikt nie wiedział, co robisz i co myślisz. Tylko ty nikomu nie mów, co ja ci powiedziałem. I nie mów o tym przy ojcu, jak przyjdiesz w środę.

— Dobra. Adres mi dasz w środę...

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

Wreszcie drzwi się otwierają.

— Jak się masz, wiać! Czekamy z obiadem.

— Przecież ja jestem po obiedzie.

— Nic nie szkodzi. dostaniesz drugiego. U nas dzisiaj gęś.

— Naprawdę nie jestem głodny...

— Nic nie szkodzi. spróbujesz kawalek. Mama piękła gęś.

Przez cały czas prowadzi mnie, wskazuje wieszak, otwiera drzwi do pokoju, z którego bucha gęsi zapach.

— Ojca jeszcze nie ma, ale dziś ma wcześniej wrócić, bo jest ta gęś. Zaraz przyjdzie.

Z pokoju wsładowują się we mnie spojrzenia niezliczonych ślepiąt: znad samej podłogi, z wysokości stołu, i jeszcze wyżej.

— To Andrzej, mój kolega — mówi Moszek przedstawiając mnie jak na balu dworskim. — A to moja rodzinka — zwraca się do mnie. — Najmłodsza jest Krysia, potem Basia, ta co siedzi w fotelu, potem Stefek, Romek, potem ja, potem Izaak, reszty nie ma, w robocie, wróć późno.

— Dzień dobry! — odzywam się.

— Dzień dobry! — odpowiada chór głosów.

— Krysia, skocz no po ojca, niech przyjdzie — mówi Moszek.

Izaak patrzy na mnie nieco drwiąco. Nie wiem, może mi się tylko tak zdaje. Jest o parę lat ode mnie starszy. Chudy jak szczeniak, obrośnięty, wzrok musi mieć słaby, bo mruga wyblakłymi oczami.

— Mama, chodź tu, Andrzej przyszedł! — woła Moszek.

— Nie mogę teraz, gęś się spali — odpowiada matka zza drzwi. — Zaraz wyjmę i podam, to przyjdę. Krysia, Krysia, chodź tu!

Krysia wytacza się z pokoju. Milczymy, bo właściwie nie wiadomo o czym tu mówić. Trochę żaluję, że przyszedłem, bo po co?

Na schodkach kroki. Wbiega Krysia. — Tata idzie — obwieszcza triumfalnie.

Najpierw suchy, krztuszący kaszel, potem głośny szwargot za drzwiami. Krysia znika, lecz zaraz wraca z nowym komunikatem.

— Tata się myje, a jak się umyje, to się ubierze.

Chciałbym coś powiedzieć, ale naprawdę nie wiem co. Do Moszka akurat nie mam żadnego interesu, wszystkie tematy szkolne jak gdyby wyschły, a do Izaaka... Trudno mi się zdecydować, jak do niego mówić: pan czy inaczej...

Izaak bierze jakąś książkę, otwiera ją, kładzie sobie na kolanach.

— Jakże wspaniały jest ten ładunek romantyzmu młodzieńczego w „Jaszczurze”, nie uważa pan? — zwraca się do mnie.

Wybaluscam oczy.

— „Co prawda Boy ocenia to jako nieopanowanie techniki własnych dążeń u Balzaka, ale ja w baśniowej koncepcji paktu człowieka z szatanem widzę doskonałą formę satyry społecznej.

Kiedy w późniejszych tomach Komedii „Ludzkiej” — odzywa się Moszek — Balzak już bez uciekania się do fantazji świetnie wygrywa ten sam element. Weź de Rubempré czy Rastignaca... Czy to nie jest bardziej przekonujące?

Od drzwi dobiega suchy kaszel. Obracam głowę. Na progu stoi niski, szczupły Żyd. Na nosie ma okulary w żelaznej oprawie. Brodę nosi krótko przyszytą. Czysty chałat jest świeżo wyprasowany.

— To Andrzej Orlicki, o którym ci mówiłem — mówi Moszek. Andrzej, to mój ojciec.

Wstaje, kłaniam się i podaję rękę. Dłoń jest sucha, ciepła, uscisł mocny.

— No, bardzo dobrze... — stary Herszfinkiel zaciera ręce, też nie wie dobrze co robić i co powiedzieć.

— O czym rozmawiacie? Rozmawiacie dalej, ja posłucham, dlaczego nie?

— O Balzaku — wyjaśnia Izaak.

— I jego wczesnym romantyzmem.

— Aha... Hania, Hania, podawaj gęś!

— Już podaję. Jak usiądziecie przy stole, zaraz podam.

Wobec tego idziemy do stołu: w sąsiednim pokoju, ciemnym, od podwórka, nakryty jest stół. Izaak przetacza fotel z Basią, za nimi podajam ja z Moszkiem, potem ojciec, potem tłoczy się reszta. Stefan i Romek biją się o krzesło. Stary Herszfinkiel obraca się do nich, mówi raz „sza!” i każdego z nich mocno uderza otwartą dłonią po uchu. Siada u szczytu stołu, tyłem do okna. Obok ja, koło mnie Moszek, z drugiej strony mruga oczami jakby drwiąco Izaak.

— Jak tam sprawuje się w szkole Moszek, co? — pyta mnie ojciec.

Zdemoralizowany

MOTTO:

„Pewnie miłość w nas niedorasta,
choć ją w naszych dziełach

klamamy.

Nadaremne ręce, jak wiosła,
gdy łodzi nie ma”.

(H. Gaworski — „Służba”)

Natknąłem się na Adama w Parku Ujazdowskim. Nie lubię go, mało — nie znoszę Adama. Dlatego ujrzawszy go tuż przed sobą zwróciłem wzrok na baraszkujące w alejce dzieciaki.

Niestety, dostrzegł mnie i podbiegł z wyciągniętą ręką.

Moje uszanowanie — zawołał z ironią. — Czyżbyś nie poznawał dawnego przyjaciela?

Byłem wściekły, ale nie widziałem innego wyjścia. Musnąłem palcami podaną mi dłoń i przeszedłem z miejsca do ataku.

Nie moja to wina, i nie masz powodu się dziwić, że nie poznaję. Sam doskonale wiesz iż od dłuższego czasu straciliśmy wspólny język.

Stropił się nieco i spuścił z tonu. Rzekł głosem cichszym, niemal że z prośbą: — Dlatego trudno ci mnie dzisiaj zrozumieć, a chciałbym byś mnie pojął. Gdy zobaczyłem cię w bramie parku, stanęły mi nagle w pamięci dawne dzieje, nasze dobre szczeniackie czasy. Proszę cię, wstąpmy na jakąś kawę, chciałbym z tobą pogadać. — W ostatnich zdaniach uczulem coś z dawno niesłyszanego u Adama ciepła i szczerości. Zgodziłem się na pójście do „Fantazji”.

Do kawy zamówił likier miętowy. Zaszyliśmy się w mroczny kąt za kolumną, na małej zrzućniętej kanapie. Przypaliliśmy papierosy.

— Pracujesz — rozpoczął — zrobiłeś dyplom. Masz dom, bo widzę obrączkę na palcu. Dawno oczekiwałem tego spotkania. Wypijmy Józka za twoją pomyślność.

Chwilę jak gdyby zbierał myśli, by wreszcie powiedzieć:

— Pamiętasz starego Walczaka ze stoczni? Hartuję — pamiętam — resor. Wziął na imadło, skreślił — trząsło. — Drek — mówi — nie resor. Chcesz by ci sama manna do gęby leciała. Kombinuj szczeniaku, by nie trząsło. Bez pomyślunku skreślisz kark jak ten resor. — Nie giu-

Napisał

TADEUSZ JASZCZYK

pi był człowiek — co? A mnie nie wiodło się w kuźni. „Cichy Don” mnie opętał. Przez ciebie. Zawsze mi przynosiłeś do hotelu książki. Wtedy gdy chodziłeś do wieczorówek.

— Pamiętasz ORMO, jakeśmy ze starymi „Mauserami” łazili nocą po zakładzie? Ile to już? Osem czy dziewięć lat. I nasze smarkackie wyznania, wtedy, z trzema nabojami w ładownicy i z nagim strachem za kołnierzem. — Dopóki sił, mówiliśmy, dopóki sił — będziemy tępić draństwo — aż do zwycięstwa Sprawy. — Jak to teraz pusto i patetycznie brzmi.

Dolał sobie nowy kieliszek, nie zwracając na mnie uwagi. Oczy miał zmętniałe — alkoholem czy zadumą — nie wiem.

— Potem Studium Przygotowawcze. Ty już wtedy kończyłeś budę. Pocziwie chłopisko był ten nasz Kawek. Ile się stary nachrypiał, namordował, by wtłoczyć nam te minimum mądrości. Wstawałem o trzeciej rano, ładowałem głowę pod kran i kułem wykreślną.

Zamyślił się z gorzkim uśmiechem. — Szołochow, geometria i ja lump za pan brat z jednym i z drugą. I jeszcze znajdowałem czas dla tej smarkatej przewodniczki harcerzy. Pamiętasz co to jej pisałem?

Zacytowałem z pamięci:
„Na niebie mienią się gwiazd
złote ćwieki
A niżej srebrną księżycą
latarnia”...

Ucieszył się. — Toś ty nie zapomniał Józka! Uderzył mnie mocno w ramię.

— A może i pamiętasz to, co wysłał do „Flagi na maszt” ten zafajdany literat? „Stoczniowcy”.

— Tak.

— Wiesz, czasem gdy sobie przypominę tę twoją protekcję — mam ochotę cię skopać.

— Gdybyś nie wyrwał mi i nie zaniósł mu wtedy tych wierszy może byłbym teraz gorszym lub lepszym inżynierem.

— A tak, masz mnie oto — parodia, imitacja człowieka!

Nie odpowiadałem. On też chwilę milczał, a potem kontynuował cichszym nieco głosem.

— Chociaż — nie jestem pewien, że to ty i literat jesteście winni mojemu „zweksławianiu”. Tak jak mi radziliście poszedłem zamiast na Politechnikę, na studia humanistyczne. Literat wysłał widocznie do Warszawy list polecający, bo zaraz po przybyciu na Uniwersytet otrzymałem zaproszenie do Klubu Młodych Pisarzy.

— Tam mówiono: — My i Majakowski. Wszyscy pisali w „schodki”. Kiedyś kilku z nas czytało swoje utwory na zebraniu „dorosłego” Związku Literatów. Przedtem trzeba było opowiedzieć w skrócie swój życiorys. Patrzone na nas jak na zwierzaki w ZOO. Ja byłem dla nich bardziej chyba egzotyczny niż hipopotam. Starsi zażywni panowie poprawiali okulary a upudrowane damy stawiały na palce, by mi się przyjrzeć. — Poeta robotnik — siyszałem pełne emocji szepty wokół siebie. Gdy skończyłem czytać podawali mi ręce, wymieniając znane nazwiska. Po zebraniu jeden z młodszych, taki w brudnej koszuli i nie ogolony, zaprosił mnie na kawę. Wypiłem jednym haustem ku zgorszeniu plotkujących damulek.

„Nie ogolony” wyciągnął mnie potem na wódkę. Po pierwszej ćwiartce obejmował mnie za szyję i krzyczał ze łzami: — My Adam zniszczymy filistrów! Śmierć burżuom!

Musiałem go odwieźć do domu taksówką za własne pieniądze, on nie miał już grosza.

Stało mi się wstrętne nieustanne poklepywanie mnie przez „wielkich”, zająłem się gramatykami.

Przed wakacjami poszedłem do towarzysza Wolnego, żeby mi porządził gdzie mam wyjechać, chciałem zebrać materiał do czegoś większego. Potraktował mnie jak ojciec. Pojechałem z powrotem do stoczni.

Kładziono stępkę pod pierwszy rudowęgowiec. Sabotaż był kolo-salny. Budowana przez wiele miesięcy nadbudówka śródokrećcia okazała się za duża. Ktoś zdemolował odwieśnie. Aresztowali wielu ludzi. Tworzyliśmy szturmowe brygady zetempowskie do pracy nocą, bo niterzy nie nadążali. 22 lipca na zabawie porznięto się nożami. Kilkunastu zetempowców poszło za kraty. Fornal — najlepszy młodzieżowy brygadzysta, okrzyknięty przez prasę, wysyłany na krajowe uroczystości i zjazdy — ukradł motocykl. Wyrzuceno go z pracy i z ZMP. — Usuwać męty! — wolano na masówkach. A w Domu Młodego Stoczniowca nocowały prostytutki. Byłem w wirze zdarzeń, notowałem na gorąco. Gdy wróciłem do stolicy zamykałem się w świetlicy Akademika i pisałem. Powstał cykl reportaży literackich na 60 stron maszynopisu. Pamiętasz jak się nimi zachwycałeś?

Adamowi drżały ręce, kipiał roz-sadzając go pasja.

— Zaniósłem to kierownikowi działu literackiego „Flagi na maszt”. Był nim wtedy Sylwester. Widziałem jak otwierał oczy czytając pierwsze strony. Kazał mi przysiąc za trzy dni. Nie mogłem się doczekać. Gdy przyszedłem, wykręcał się od dania jasnej odpowiedzi. Powiedział, że przekaze reportaż działowi robotniczemu, bo on nie zna specyfiki...

Kierownika działu robotniczego wzięli do szpitala na jakąś operację. Przychodziłem codziennie do redakcji. Wreszcie przeczytała to Agata. Przegadaliśmy z nią ze czterech godzin. Dała mi wykład o formie reportażu. Prosiła, bym przyszedł po kilku dniach.

Po tych kilku dniach dowiedziałem się, że Agata wyjechała niespodzianie do Moskwy; w sprawie moich reportaży miałem się poinformować u Orlika. Jeszcze nie straciłem nadziei — Orlik był świeżym laureatem nagrody Bruna. Jednak przekonałem się, że i on boi się odpowiedzialności i chce się mnie pozbyć. Usiłował mnie przekonać, że z partii „Sprawa Edka Fornala” trzeba wykreślić ustęp motywujący dlaczego Edek uciekł ze szkoły górniczej do stoczni. — Teraz mamy zaciąg pionierski do górnictwa — wytłumaczył Orlik.

Miałem dosyć. Wyrwałem mu maszynopis i powiedziałem, że jeden z nas jest kompletnym idiotą. To było jeszcze przed ukazaniem się „Lewantów” Brauna.

Znów zjawilem się w „Literackiej”. W Klubie Młodych pisano teraz „pod Jesienina”. „Nie ogolony” gołił się teraz codziennie, nosił się czysto, kupił sobie nowy garnitur i założył nawet krawat. Gdy przeczytałem mu fragmenty reportażu — tłumaczył mi, że to naturalizm i że relikty starego przesłaniają mi obiektywną rzeczywistość — że trzeba typowo. Kłóciłem się z nim zęb za zęb, aż zdołał mnie wreszcie przekonać, że gdyby moje reportáže ukazały się w druku, byłby to żer dla wroga klasowego i imperialistycznej propagandy. Potem zapoznał mnie z pewnym redaktorem, który wydawał broszury do samokształcenia i pracy świetlicowej. Ten zamówił u mnie wiersz o pięknie pracy stoczniowca. Termin dał mi krótki, zaledwie kilkunastu. Pozazdrościłem „nie ogolonemu” garnituru; i również chciałem wyglądać jak człowiek. Dlatego podpisałem umowę. Zbliżała się sesja egzaminacyjna i nie mogłem się skupić na napisanie wiersza. Zmuszony terminem spłodziłem go na wykładzie logiki. Był obrzydliwie transparentowy.



rys. Jerzy Cwiertnia

Chyba ten facet od broszur wienien jest mojej dzisiejszej zgniliz-nie. Wyobraź sobie, że przyjął tę płytka, rymowaną publicystykę i wydawał się być bardzo zadowolony. Kazał mi się zgłosić do redakcji po honorarium i zamówił następny wiersz na Dzień bodajże Hutnika.

I tak powoli prawie nie zdając sobie sprawy stawałem się tym czym jestem dzisiaj — prostytutką literatury.

Zapraǳiałem stać się podobny do „nie ogolonego” i innych „literatów”. Zacząłem uczęszczać do „Ocie-nionej”, kupować sobie nowe marynarki i krawaty. Moja „twórczość” nie dawała mi już zadowolenia, co-rzardziej się rozpijałem. „Zawaliłem” zimową sesję egzaminacyjną. Nie zdałem kolokwium z logiki i z gramatyki historycznej.

Wtedy „odkryło” mnie koło ZMP. W przeciagu pół godziny zostałem usunięty z organizacji za bumelantwo i „złą postawę moralną”. To z kolei spowodowało bliższe za-interesowanie się mną Klubu Młodych Pisarzy. Ktoś dowiedział się o zawartej przeze mnie umowie z redakcją broszur na napisanie „Pomematu o Październiku” w terminie dwóch tygodni. Wtedy i ty się ode mnie odwróciłeś.

Spakowałem manatki i wyjechałem do jednego z miast na Ziemiach Odzyskanych, gdzie organizowała się właśnie terenowa gazeta. Nie byłem przekonany o swojej winie. Wywoziłem dziła nienawidę do Warszawy i poczucie ogromnej krzywdy. Oto na powrót uczyniono mnie lumpem.

Nie miałem sił na rozpoczęcie życia od nowa. Nie było człowieka który pomógłby mi się zdźwignąć. Robilem tak, jak mnie nauczono w Warszawie. Pisałem słoneczne reportażyki o spółdzielniach produkcyjnych, rymowałem fraszki na kulków i chodziłem wieczorami na wódkę. Zwierzęchny byli ze mnie zadowoleni. Wedle ich oceny wykonywałem dobrze swoje obowiązki.

Po roku, gdy moją sprawę przykryła gwałt warstwa kurzu i nowych etapów — wróciłem do stolicy. Nie chciałem kompletnie skretnieć na prowincji — nie miałem już nic „własnego” do powiedzenia. Na dworcu spotkałem Pawła Lesiaka, mego rówieśnika po płórze. Czekał tu na wracającą z sanatorium żonę. Zaprosił mnie do siebie.

To nie był już ten promienny Paweł jakiego dawniej znałem. Miał cienie pod oczami i kipiał żółcią.

— Liberalowie i mieszczychy do-brali się do naszej ideologii. Z ZMP chcą zrobić front narodowy. Znał pisarze i publicyści uprawiają pry-watę i obrzucają się nawzajem o-belgami na temat — który z nich większym dumnie. Kameleonem zmienili barwę. Puciakiewicz na-dal pasie się na pocie proletariatu, znów co noc wyciągają go wyfra-czeni kelnery spod stołów „Ocie-nionej”. On jest zawsze na linii. Pisał zgodnie z etapami — na Tru-mana, na biurokratów, na im-perialistów, zrzucających stonkę ziemniaczaną i na bikiniarzy w pa-siastych skarpetkach. Teraz pod-czas „odwilży” założył muszkę i sprzedaje fraszki na Pałac Kultury i MDM. „Węchowcom” zawsze do-brze.

Stary Wolny — nasz były ideał i duch opiekuńczy — rozwidł się po-dobno z żoną, z którą przeżył czter-dzieści lat i żeni się z dwudziesto-

letnią. Koledzy twego „nie ogolone-go” wymieniali między sobą na noc Dzidkę — naszą „damę literacką” z Klubu Młodych...

Nawet ja nie mogłem uwierzyć. Wybiegłem z pokoju nie zegnając się z Lesiakami. Później dowiedziałem się od kolegów, że Paweł jest histerycznie rozdrażniony ponieważ otworzyła mu się na powrót kawe-rna w piuchach.

Trzeba żyć. Nawizałem współ-pracę z kilkoma redakcjami i pisu-ję dla nich okolicznościowe „bzdzo-łochy”. Co popadnie. Co chcą i za co więcej placą. Złożyli mi w pokoju aparat telefoniczny. W formularzu do książki telefonicznej podałem — Adam Górski — literat.

Podobno mamy teraz zdrowszą atmosferę. Widzę tę atmosferę w redakcjach, do których przychodzę. Przed wyjazdem na Ziemię Odzyskane robiłem dla jednego z redaktorów tekst do fotoreportażu pt. „Dzień słynnej artystki”. Wtedy fotografowaliśmy ją po pracy w te-atrze siedzącą nad tomem Lenina. Teraz robiłem podobny fotorepor-taż dla tego samego redaktora. Na zdjęciu „sława” w niedopiętym szlafroku karmi swoją papużkę. Sam nie wiem co myśleć — może po prostu nie nadajam za procesa-mi historycznymi.

Wtedy pily tylko „zdegenerowane jednostki”, drobnomieszczychy. Te-ras pije już cała „intelektualna młodzież”. Eksportowa z białą kart-ką ma być podobno miernikiem ich wewnętrznych zmagają w sztuce. Krzyczą — śmierć sztywniactwu i nudzie! I wymiotują pod stół.

Czytujesz w „Obliczu” Michała Kłosa — prawda? Bardzo zdolny młody publicysta. Skończył niedaw-no studia. Zdrowo myślicy, surowy chłopak ze wsi. Po dwóch miesi-ach pracy w redakcji błagał mnie bym go nauczył grać w brydża. Zapisuje świeżo uszywane sprężne ka-wały, bo chce mieć powodzenie u kobiet. Mówił mi: — Potraficie tak pięknie pisać o walce i socjalizmie, organizujecie dyskusje na tematko-munistycznej moralności. Ja dureń myślałem, że stosujecie te ideały w swoim życiu. Gdy próbowałem się przeciwstawiać, wysmialiście mnie, powiedzieliście, że jestem „nieżyczliwy facet”.

— Czytałem „Ode do poważnych”. Jakże ci ludzie są ograniczeni. Po każdym nowym etapie zakładają in-ne okulary, końskie okulary i od-krywają prawdy, które już dawno były oczywiste dla niekrótkowid-zów. Dawniej widzieli tylko nie-bo. Teraz zwrócili wzrok na zie-mię. Widzą tylko błoto. Nie potra-fią ogarnąć wzrokiem całego hory-zontu.

Podobnie młodzi pisarze i poeci. Zdejmują nagle szkła po dziesięciu latach i dziwią się — patrzcie jaki ten świat...

Wyciągnął z kleszeni świeży nu-mer „Tygodnika Literackiego”. — Posłuchaj co odkrywa nasz kolega, syn robotnika z warszawskiego przedmieścia:

„Oddzieleni znuzeniem oczu od zbyt ciężkich, bolesnych prawd, przechodząmy zimy i obcy, własnych pragnień obrzecz tocząc obok udych, codziennych

spraw”.

— Kolumbowie, psiakrew, ale dopiero teraz gdy taki sezon.

Adam zgnił! niedopałek papie-rosa i spojrzal na mnie wyzywają-co.

Wysilił się z kawiarni. Odprowa-dzał mnie w stronę domu.

— Chciałbym odwiedzić twój ojca — mówił — pogadać ze sta-ruszką. Jest już na emeryturze? — To nic, to nawet dobrze, bo ma więcej czasu. Chciałbym znów na parę miesięcy wyjechać do stoczni. Dawno nie rozmawiałem z nor-malnymi ludźmi.

*

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Adam rozdrapał brutalnie bolesny strup. Sam przecież również cho-dziłem kiedyś na zebrania Klubu Młodych. Dlaczego z pięćdziesięciu zdolnych nikt się nie ostał? Prze-cież o ich zdolnościach mówili ta-cy jak mistrz — towarzyszy Wolny. Niechby odpadły plewy, to winno zostać przynajmniej dziesięciu, przynajmniej pięciu. Nie spotykam ich nazwisk w prasie literackiej.

Adam nie jest czarnym wyjąt-kiem. Rozpił się Janek Gut, rozpił się Jurek Bartnik, zwątpił w czło-wieka Edek Lipski. Oni wszyscy oderwali się od swych środowisk, wypadli z łodzi, nie potrafili oprzeć się złu. Są mali i tchórzliwi.

A ja? — zastanawiałem się. Czy sam nie zważyłbym na dobro wi-dząc, iż ci, którym ufałem, których uważałem niemal za świętych, są w życiu codziennym plazami? Na zebraniach partyjnych uczą mnie, iż nie wolno mieć dwóch postaw, że moje życie osobiste, to również sprawa partii, sprawa mych bliź-nich. Dlaczego im tego nie mówią? Czyż od artysty należy wymagać mniej? Czy nie powinno być prze-ciwnie? Czy oni nie zdają sobie sprawy ze swej pozycji w społeczeństwie? Czy nie należy im o tym przypomnieć? Przecież my przeży-wając dzieła sztuki kochamy twór-ców. Usiłujemy naśladować stwo-rzonych przez nich bohaterów — w dobrym. Czemu oni nie wszyscy żyją szlachetnie? Czyż ideały są tylko dla maluczkich?

Kilkanaście dni temu odwiedził mnie Kazik Wojdyło — znany kry-tyk literacki. Był naładowany zdu-mieniem i optymizmem odkrywczy. — Siedziałem dwa tygodnie w Białostocczyźnie — oznajmił mi. Poznałem nowy świat. Nie mogę pojąć dlaczego tak długo wysiady-wałem krzesło za biurkiem. Zro-zum, my nie mamy pojęcia o ży-ciu. Widzę teraz przed sobą morze działania. Rozegnałem mgłę wokół siebie...

Myślałem — kpimy z biurokraty, naśmiewamy się z plotkującego fi-listra — dlaczego byśmy nie mieli zacząć kpić z „intelektualnej” po-zy. Czemu nie tępić dwóch twarzy, dwóch sumień — artyści i działacza. Życie jest wielkie i mocne jak ocean. Trzeba naruszyć rzęsę sa-dzawki twórców. Gorki był traga-rzem, włóczęgą i robotnikiem kole-jowym. Artysta rzuć wolno być urzędnikiem. Trzeba rozbić ślima-czą skorupę, zniszczyć mit o nie-botycznym Parnasie. Nakazać im by byli ludźmi.

Potrzebna była odwilż. To dzięki niej Adam nie złamał się całkowi-cie. Ale ona wzniesiła sprzeczną wiatr i wielu łodziom urwała ster. Adam wiele widzi i wiele już ro-zumie, nie wie tylko gdzie płynąć.

*

Od mojej rozmowy z Adamem upłynęło już kilka tygodni. Jeszcze nie przyszedł do mego ojca. Cze-kamy na niego.

Nagroda PO PROSTU dla Marka Oberländera

Rozszerzone Kolegium Redakcyjne PO PROSTU na posiedzeniu w dniu 29 października rozpatrywało wniosek naszych Czytelników J. Zakrzewskiego, S. Haby, J. Szerszenia i szeregu innych w sprawie przyznania nagrody artyście plastykowi Markowi Oberländerowi, uczestnikowi Wystawy Młodej Plastyki w Arsenale w Warszawie.

Biorąc pod uwagę liczne i jedynomyślne żądania naszych Czytelników, Kolegium postanowiło:

— ufundować NAGRODĘ CZYTELNIKÓW PO PROSTU dla artysty-plastyka, uczestnika Wystawy Młodych, w kwocie zł 2500,

— nagrodę tę przyznać art. plast. MARKOWI OBERLÄNDEROWI za całokształt prac plastycznych, w szczególności za wystawione w Arsenale prace: „Napiętnowani” i „Cebule”.

REDAKCJA

Na gorąco

T. Boy-Żeleński.

Dziewice konsystorskie.

PIW 1955

Działacze katolicy zapewniali, że zawsze byli postępowi. — Jeśli chcieli się przekonać z jaką furją, z jaką wściekłością walczyli w Polsce mlaro-dałni, czołowi reprezentanci tzw. „opinii katolickiej” już nie z zasadniczymi, re-wolucyjnymi przemianami, ale z naj-skrótniejszą nawet próbą wprowadze-nia sprawiedliwości i uczciwości na ma-lym odcinku prawa małżeńskiego — czytaliście zbiór felietonów Boya wno-wiony przez Państwowy Instytut Wy-dawniczy.

J. Tuwim.

Dziela.

ROM PIERWSZY
CZYTELNIK 1955

Dwa tomy liryków Tuwima od „Czyha-ma na Boga” aż po pozostałe w tece fragmenty. Wielogodzinna uczta. Znajdzie wygodny fotel, siadajcie i czytacie. — Co do strony wydawniczej: że papier podły to już inni pisali, ale dlaczego Komitet Redakcyjny zapowia-da, że Tuwima skastruje i nie zamieści w „Pismach” jego wierszy frywolnie-zych, znanych zresztą z odpisów na-wet pensjonarce? Ano, podobnie było z Goethem: przez dziesiątki lat nie wy-dawano w Niemczech pełnego zbioru Je-go pism — z tych samych powodów. No klasyk, proszę państwa, podobny jest do anioła: nie ma pleci. Biedni klasycy!

Klemens Kępczyk.

Miecz i kobierce.

CZYTELNIK 1955

Jak ordynarnie, po łobuzersku, akra-dzono Polsce arrayy i szereg najcenniejszych pamiątek narodowych ze zbio-rów wawelskich, jak nie do obalenia jest nasze i formalne i moralne prawo do ich odzyskania! Wszystkie dowody znalazłcie w książce Kępczyka, którą czyta się jak powieść kryminalną. Do-gny szereg reprodukcji arrasów i in-nych pamiątek. Przeczytajcie — do-wiedcie się jak bardzo w tej sprawie słuszność jest po naszej stronie.

Ksenofont.

Wyprawa Cyrusa

CZYTELNIK 1955

Herodota rozezwytano w kilka dni. Tak samo było z Cezarem. Poluście na Ksenofonta — zaraz zniknie! Co wła-sciwie jest tak atrakcyjnego w klasy-kach starożytności? Z perspektywy pod-ręcznika szkolnego historia starożytna wygląda jak papierowa fikcja: nierze-czywiści ludzie na tle umownych zdarzeń. Nuda piramidalna, jonska i e-gijska. Aż tu nagle bierziesz do ręki takiego Sallustiusza — i odkrywasz nowy świat, pasje, namiętności, lęki, na-dzieje — żywi ludzie, żywe sprawy, taki Katylinia choćby: coś z Mikolajczy-ka, coś z Gaulle’a — pełny, trójwymia-rowy człowiek w konkretnym barwnym świecie — odkrycie! I wtedy zaczyna się szukać następnych: może trafił się Tucydides, może Józef Flawiusz. A więc — poluście na Ksenofonta! (Ga)

Dokończenie artykułu St. Manturzewskiego pt. „W zaklętym kręgu drętwej mowy” zamieścimy w numerze następnym.

DROGI ZBAWIENIA i DROGI ŻYCIA

JANUSZ KUCZYŃSKI

W 28 numerze PO PROSTU z 18 września br. opublikowany został artykuł pt. „Urok wiary”. Poprzez analizę istoty religii autor przedstawił do wniosku, że doktryna chrześcijańska narzuca egocentryczny i antyhumanistyczny koncept moralny. W numerach 41 „Dziś i Jutro” oraz 42 „Tygodnika Powszechnego” ukazały się polemiczne odpowiedzi na powyższy artykuł. Ponadto pierwsza z nich, pisma Mikolaja Roztworowskiego, przedrukowana została w katolickim dzienniku „Słowo Powszechne” (z 17. X. 55 r.).

Ponieważ poruszona w tych artykułach problematyka spotkała się z żywym zainteresowaniem naszych Czytelników i ponieważ dotyczy ona istotnych spraw kształtowania światopoglądu człowieka — łamy naszego pisma stoją otworem przed wszystkimi, którzy zechcą zabierać głos w dyskusji. Sądzymy, że specjalnie cenne będą wypowiedzi tych Czytelników, którzy w oparciu o obserwację swego środowiska, w oparciu o własne przeżycia, w oparciu o własne przemyslenia i własne ideały — napiszą o wszystkich istotnych swoich problemach i „pragnieniach ducha”.

A zatem czekamy na Wasze głosy, Czytelnicy. Ponieważ zamieszczamy odpowiedzi na polemiczne artykuły z „Dziś i Jutro” i „Tygodnika Powszechnego”.

REDAKCJA

Co jest istotą katolicyzmu? Czy prowadzi on człowieka do czynnej walki o szczęście innych ludzi? Czy rozwija jego osobowość? Kto ponosi odpowiedzialność za marazm i egoizm, indyferentyzm intelektualny i wygodnictwo, łatwość życia wielu katolików? Sami ci ludzie, czy doktryna, którą wyznają? — Oto jest sedno polemiki.

Autentycznie pojmowany katolicyzm — powiadają oponenty — nie ponosi żadnej odpowiedzialności za spotykane jeszcze w środowiskach religijnych obniżenie życia ideowego. Nie ponosi odpowiedzialności za społeczne asekurantwo. Doktryna jest czysta. Co więcej, doktryna jest heroiczna. Religia wymaga przecież od człowieka, by miłował nie tylko Boga, ale i człowieka. Wymaga od jednostki wysiłku i wyrzeczenia na rzecz innych ludzi. Bo powiedziane jest: „To wam przykazuję, byście się społecznie miłowali”.

Nieroztropnie jednak czyni ten, kto wyrzeka tylko na podstawie podobnych słów i hasel. By słusznie sądzić trzeba analizować całość doktryny — filozofii — nie pojmując się z kilku jej tez. Trzeba uchwycić sens całości, by zrozumieć istotę światopoglądu. Banalne to prawdy!

Cóż jednak czynią oponenty? Zapominają o tym niewygodnym, metodologicznym postulatcie. Pragnąc przeciwstawić się wnioskowi wypływającemu z analizy samej istoty religii, posuwają się nawet do wysunięcia na pierwszy plan drugorzędnych elementów doktryny.

Redaktor Roztworowski pisze o „kategorycznym nakazie społecznej miłości bliźniego, tkwiącym w samym centrum (podkreślenie J. K.) doktryny chrześcijańskiej”, a pani Bobbė twierdzi, że „Urok wiary” niesłusznie przekreśla „wartość chrześcijańskiego humanizmu z jego głęboką wiarą w immanentną wartość i godność człowieka”.

Lecz to jest własna apologia, abstrahująca od zasadniczych tez bronięcego światopoglądu. Apologia skrzywiała obraz rzeczywistości. Mistyfikacja polega na tym, że świadomie i celowo przedstawia się hierarchię zagadnień. Ba! że w praktyce drugorzędny i niesamodzielny element doktryny uśmiera się odwrócić uwagę od istoty sprawy.

Nikt przecież nie zaprzecza, że w centrum światopoglądu katolickiego znajduje się Bóg, a nie „nakaz społecznej miłości bliźniego”. Konceptja najwyższej istoty jest naczelnym hasłem doktryny, jej osią określa-

jącą cały system, wszystkie jego elementy. Jeden z najwybitniejszych współczesnych tomistów, Maritain, przedstawiając ten określający, centralny element pisze: „Humanizm teocentryczny, czyli prawdziwie chrześcijański, uznaje, że Bóg jest ośrodkiem człowieka.” Bóg, a nie człowiek. I służba Bogu mają być podporządkowane wszystkie czynności człowieka. Dla „miłości bliźniego” jest tam miejsce tylko o tyle, o ile służy ona stworcy, o ile zbliża człowieka do niego. A więc o tyle, o ile miłość bliźniego służy własnemu zbawieniu wierzącego. O ile jest środkiem do uzyskania Łaski. I to jest konsekwencja i nakaz doktryny.

Nie można więc mówić ogólnikowo i nieściśle o „chrześcijańskim humanizmie” — jak to czyni p. Bobbė. Bo nie można mówić w chrześcijaństwie o „immanentnej wartości i godności człowieka”, skoro człowiek jest tam tylko środkiem, a nie celem dla innych ludzi. Humanizm antropocentryczny czy teocentryczny — problem ten w katolicyzmie może być rozstrzygnięty tylko przeciw immanentnej wartości człowieka, przeciw jego samodzielnności i własnej godności. Wspomniany Maritain, zapewne nie mniej kompetentny niż I. Bobbė, pisze w powyższej sprawie: „Człowiek uznany zostaje jak człowiek grzeszny i wcielania, mający za ośrodek Boga a nie siebie samego.”

Taka jest rzeczywistość katolickiego światopoglądu. Taka jest jego wewnętrzna konstrukcja. I z konstrukcją tej, wyznaczającą centralne miejsce Bogu, wynikają wszystkie ukazane w pierwszym artykule i wyżej, moralne konsekwencje. Katolicyzm nakazuje człowiekowi służyć nie ludziom lecz Bogu — odciągając w ten sposób jego wolę i energię z pola walki o postęp świata. Katolicyzm nakazuje człowiekowi czynić wszystko, by osiągnąć własne zbawienie, by połączyć się z Bogiem — rozniecając w ten sposób egoizm, nakazując kierować się egocentrycznymi, religijnymi motywami.

Katolicyzm daje człowiekowi nie tylko teoretyczne nakazy, sprawdzające go z drogi moralnej motywacji — na drodze zbawienia. Publicyści katolicy — szczególnie w „Słowie Powszechnym” — podkreślają ostatnio bardzo ściśle związek wiary z kościołem. Religijność poza kościołem jest w swej wartości nader problematyczna — uczą. Bo wiara winna mieć należną jej oprawę w

praktykach religijnych. Wiara musi realizować się w ramach kościoła.

Tam zaś praktyka religijna pogłębia wszystkie pokusy „rajskiej ucieczki”, jakie niesie czysta doktryna — istota religii. Potęguje egoistyczną motywację postępowania człowieka. Godzina religijnych czynności zastąpi każdy wysiłek społecznej rehabilitacji. Przywrócić bez trudu i szybko boską Łaskę i otworzyć w perspektywie wrota raju. Po cóż więc trudne i ciężkie, uparte i męczące wysiłki ponoszone przez człowieka w rzeczywistym życiu? Po cóż walka i trud? W istocie rzeczy — może wystarczyć chwila błagalnej modlitwy.

I dlatego w praktyce — te straszne spustoszenia w dziedzinie ludzkiej aktywności i energii. Stąd te wynikające z teorii, a pogłębiane jeszcze przez praktykę wiary wszystkie konsekwencje religii. Cała atmosfera kościoła, jego psychologiczna atrakcyjność polega na łatwym zaspokajaniu marzeń o nieśmiertelności. Na ludzeniu łatwym — i przecież tak tragicznie nieprawdziwym — rozwiązaniem wielu metafizycznych pragnień człowieka.

Czy jednak postępowanie katolika w jego intencjach cechuje zawsze wyrachowanie? Oczywiście, kto odpowiada twierdząco — upraszcza sprawę. Trzeba przecież pamiętać, że nie każdy odruch ludzi kontrolowany jest przez cały system światopoglądowy. W „Uroku wiary” pisałem — co zresztą spotkało się z żywą aprobatą katolickich publicystów — o negatywnych odstępach od katolicyzmu „ludzi tylko odświętnie religijnych”. Teraz trzeba powiedzieć o innym odchyleniu — pozytywnym. O tych wypadkach, gdy człowiek wierzący w chwilach ludzkich tragedii przestaje kierować się religijnymi motywami. Gdy w sposób zwyczajny i ludzki powodowany człowieczą solidarnością — poświęca się dla innego, czy choćby niesie mu całkowicie bezinteresowną pomoc.

Sekundy, w których O. Kolbe zdecydował się zastąpić człowieka, przeznaczonego na zamurowanie, nie były zapewne wypełnione obliczaniem zysków nieśmiertelności. Może stało tam czasu zaledwie na iskrę nadziei — że się nie zginie całkiem. Bo w tych sekundach decyzji było przede wszystkim ludzkie i zupełnie ziemskie potępienie zbrodni, odruch współczucia i odruch serca, które czuje cierpienie człowieka. Wbrew piekłu hitlerowskich eksperymentów i wbrew metafizycznym miazmą — zwycięstwo w czynie. Maksymiliana Kolbe odniósł tylko człowiek. Zwycięstwo bez myśli o nagrodzie. Tak samo, jak np. w czynie młodego komunisty — członka Ruchu Oporu, który nie miał nawet tej iskrki zaziemskiej nadziei. I który na kilka godzin przed rozstrzelaniem napisał: „Jestem tylko kroplą krwi, która użyży ziemi francuskiej”.

Poczucie człowieczeństwa i zwykły ludzki odruch leżały u podstaw wielu bezinteresownych czynów uznanych za katolickie tylko dlatego, że ich twórcy byli ludźmi wierzącymi. A przecież za akcję katolicką można uznać tylko takie działanie, do którego motywem zacerpnęto ze światopoglądu religijnego i nakazów kościoła. To zaś — jak wyżej dowodzone — z istoty swej będzie skazone religijną koncepcją tamtego świata i egoizmem wierzenia.

Jednak analiza ogromnej większości postępowania katolików wykaże nam niezbicie, że nie każdy istotny krok ich postępowania determinowany jest nakazami kościoła. Człowiek wierzący odpowiada nie tylko na metafizyczne wołania „poziemskiej ideologii”. Odpowiada on w pierwszym rzędzie na ludzkie potrzeby i pragnienia, które rodzi codzienna rzeczywistość. Odpowiada na humanistyczne pobudki. I typowych przeciętnych katolików dotyczy to oczywiście o wiele większym stopniu niż O. Kolbe. Z całego spłotu ziemskich, humanistycznych i pogrzebowych, religijnych pobudek — te pierwsze odgrywały zapewne decydującą rolę. (Mówimy o katolickich aktywnie uczestniczących w losach swojej społeczności). Te drugie pobudki w istocie rzeczy odgrywały rolę negatywną: hamują aktywność pokusą rajskiej ucieczki i zastępo-

waniem ludzkich motywów intencjami nagrody metafizycznej za dobre czyny.

W praktyce życia wielu przeciętnych katolików religia w gruncie rzeczy odgrywa tylko rolę „świątecznego uzupełnienia”. Ta teza z „Uroku wiary” ochrzczona została przez polemistów „Dziś i Jutro” i „Tygodnika Powszechnego” mianem trafnej w zasadzie obserwacji. Negowano jednak, by postawa taka była reprezentatywna dla rzeczywistego katolicyzmu.

A jednak teza ta dotyczy także ludzi uznanych za „klasycznych” katolików. I nie może być inaczej. Katolicyzm nie może objąć całej sfery życia dzisiejszego człowieka wierzącego. Religia w ekлекtyzmie motywów działania zajmuje miejsce zapewne nie dominujące. Weźmy obrazy tych ludzkich egzystencji, dane nawet przez katolickich pisarzy. Częstokroć nasuwa się refleksja (choćby w niektórych książkach Cronina) że ta katolicyzm jest „na siłę” dorabiana, jak owe słynne „polityczne” wstępy czy zakończenia w naszych referatach.

To jest zresztą także zagadnienie literackiej twórczości katolickich pisarzy. Charakterystyczny paradoks: Gołubiew w swych świętnych zresztą publicystycznych esejach, drukowanych w „Znaku”, jest wojującym katolikiem, katolikiem „do szpiku kości”. Cóż się stało, że ten sam Gołubiew, wybitny pisarz, dając realistyczny obraz życia w „Bolesławie Chrobrym” tak nagle stracił „nerv religijny”? A przecież nie mogło być inaczej: pełne życie ludzi tworzących historię zepchnęło gdzieś na drugi plan wszelkie, nawet największe religijne „wstawki”. Bo prawdziwie, głęboko katolicka powieść oderwana będzie od humanizmu codzienności — jak to widzimy na przykładzie twórczości Bernanosa — katolickiego „pisarza głębi”.

W zjawisku tym dostrzegamy pewną analogię do postawy uczynnego-katolika, który chcąc osiągnąć wyniki w swych pracach badawczych, musi zajmować postawę materialisty — i w laboratorium żywiołowo zajmuje ją. Ale poza pracą hołduje idealizmowi — często w najskrajniejszej, idealistycznej formie — religii. A przecież istotnie wielkie rezultaty osiągnąć można długotrwałe tylko w oparciu o ziemskie dążenie i humanistyczną motywację działania. Można powiedzieć: jeśli dobrze czynicie, czynicie jak ludzie.

*

A teraz, po zasadniczych sprawach, kilka polemicznych drobniaków.

Red. Roztworowski protestuje przeciw sięganiu do feuerbachowskiej krytyki religii. Jest ona przestarzała — pisze. Dotyczy tylko ówczesnego chrześcijaństwa. Powołując się na nią jest więc jedynie „powielaniem” — twierdzi.

Obawy te wydają się jednak przesadne. W ogóle na marginesie warto zauważyć, że poglądy autora „Wykładów o istocie religii” (nb. przyswojonych polskiemu czytelnikowi przez PWN w 1953 r.) starzeją się znacznie wolniej, niż chrześcijaństwo. Gdyby więc nawet dotyczyły tylko jawnie wstecznego społecznego oddziaływania doktryny, i tak dziś nie straciłyby na aktualności w odniesieniu do znacznej części jej wyznawców. Poglądy te atakowały jednak właśnie „samą istotę religii”. Ta zaś, jak wiadomo jest w pewnym sensie pozahistoryczna (sądzę, że z tezą ta Roztworowski zgodzi się bez trudu). Nie-dobrze więc się dzieje, gdy polemista „Dziś i Jutro” pomija ten fakt, unikim w gruncie rzeczy kwitując poważny problem. A mógłby przecież pokusić się o laurów liście pogromcy Feuerbacha, bo jak dotąd, mimo upływu całego wieku, żaden z katolickich teoretyków nie zdołał przezwyciężyć teoretycznie nawet tej przedmarkowskiej krytyki religii, którą przedstawiając jej antyhumanistyczną istotę pełnym głosem wyzwała ludzi by „z przyjaciół boga, stali się przyjaciółmi człowieka, z ludzi wierzących — ludźmi myślącymi, z ludzi modlących się — ludźmi pracującymi, z kandydatów na tamten świat — badaczami tego

świata, z chrześcijan, którzy wedle własnego wyznania są „na pół zwierzętami, na pół aniołami” — ludźmi, pełnymi ludźmi”.

Red. Roztworowski pokusił się natomiast o przewyższenie Epikura, przyrównując jego postawę do postawy wyznawców chrześcijaństwa. Jest to zapewne w dziejach walki kościoła przeciw teorii filozofa ateńskiego ogrodu pomysł nowy. Miał uwzględnić jednak całości zwalczanej filozofii, którą możemy dziś choć z nielicznych ocalałych fragmentów odtworzyć. Filozofia ta uczyła ludzi, że zadowolenie znaleźć można nie tylko w atakach, ale także w czynnej, aktywnej postawie wobec świata, jaką winien zajmować filozof. Że szczęście prawdziwe znaleźć można tylko na ziemi, odcinając się od urojen o „tamtym” świecie, żyjąc przyjemnie, a „nie można żyć przyjemnie, nie żyjąc rozumnie, moralnie i sprawiedliwie”.

I wreszcie trzecia wyprawa historyczna Roztworowskiego. Odpowiadając na uwagę o katolickiej koncepcji człowieka, zapytał zjadliwie w swym liście: „A może lektura dzieł sentymentalnego Jana Jakuba tak bardzo Pana urzekła, że rzeczywiście gotów jest Pan bronić tezy o zasadniczo anielskich właściwościach człowieka?”

Jak widzimy imputuje się tu pogląd, którego nigdy nie odważył bym się wypowiedzieć. Jest przecież doktrynalnie przesadzone, że anioł w hierarchii byłów umieszczony został znacznie wyżej niż człowiek i herezją byłoby pozytywne porównanie. Jestem natomiast na tyle sentymentalny, że chętniej hołduję poglądom starego francuskiego mistrza, niż „konceptji odwiecznego skażenia natury ludzkiej przez grzech pierworodny. A w ogóle wolę przyrdo, którą opiewał Rousseau, niż konfesjonal. Poglądy Jana Jakuba są bowiem zapewne bliższe naturze człowieka i — zdecydujemy się na herezję — bliższe prawdy, niż le-

Więcej uwagi sprawom ziemskim

(dokończenie ze str. 2)

Pierre Gascar'a za to, że w pięknych słowach potrafi słać zaciśnię podolskich grobów, w których grzebał niegdyś swych jenieckich kolegów. Handlujemy z Niemcami i konkurujemy z niemieckim przemysłem w zdobywaniu nowych rynków.

Putrament, ten żarliwy i jakże cenny siewca zdrowego fermentu w naszej rzeczywistości — niedawno w „Przeglądzie Kulturalnym” słusznie protestował przeciwko kacykow-skim cenzorom: „...niezmiernie niemierną (i nieskuteczną) mechanikę, w której jeden — i to nie jakiś specjalny tytan myśli — decyduje co mają wiedzieć wszyscy”. Przykłądną wypadła i dalszemu stwierdzeniu: „...całkiem oczywiste jest odrzucanie przez nas całej wrogiej załganej „informacji” na temat naszego kraju”. „Zamiast centralnie odrzucać to co jest wrogię, zaczęliśmy centralnie decydować co jest pozytywne”. Jakie skutki takiej polityki? Ano wytworzył się z biegiem lat wielki głód wiadomości o kapitalistycznych krajach (bynajmniej nie z sympatii do kapitalizmu). Szukaną informacją gdzie się da. A że prasa nasza i radio mało dawały, zaczęto szukać informacji w obcych audycjach i publikacjach.

Trudno o groźniejsze skutki popełnionych błędów, jak ten, że po dzień dzisiejszy informatorom czytelnika polskiego o Japonii jest książką faszysty A. Zischki, zaś dla wyrobienia sobie zdania o perspektywach odrodzenia Europy czyta się znakomite skądinąd reportaże burżuazyjnego H. R. Knickerbrockera, Gorze! że przykładowo przytoczone książki są wydane ćwierć wieku temu, a sytuacja nasza wymaga „nowoczesnego” poglądu na świat. „Nowoczesne” książki sprzed ćwierćwiecza, które z braku laku kształtują nasze poglądy, „nowoczesne” atlasy z czerwonym „Grossdeutsches Reich” od Renu po Dniepr jako pomoc naukową — to kubel zimnej wody na łeb zaściankowych

genda o jabłku, podstępny węzł i nieroztropnej kobiecie.

*

Katolicyzm pragnie prowadzić człowieka drogami zbawienia. Wytycza mu drogowskazy, dba, by nie zszedł i siedzi zapatrzonej prosto w najwyższy cel. Lecz przez swą „p” k u s e, przez łatwość udzielania odpowiedzi i dostarczania ludzkości rozwiązań, przez kierowanie wzrokiem ludzkiego ku niebu i przez praktyczne działanie, które prowadzi do moralnego rozbrajania człowieka, katolicyzm nie przysługuje się dobrze ziemskim sprawom człowieka. Drogi zbawienia sprowadzają człowieka z dróg pełnego życia. Świat i życie mają o tyle sens, o ile służą ostatecznemu celowi i n d y w i d u a l n e g o, w ł a s n e g o „nadprzyrodzonego” bytowania osoby. Egoizm religijny staje się zasadniczą cechą człowieka. Niezwykle charakterystyczna w tym względzie jest książka ks. Pietkuna, wydana przez Pax w 1954 r., w której przedstawiono wszystkie podstawowe elementy doktryny, a w najistotniejszych tu rozdziałach („Kryteria i motywy wiary katolickiej” oraz „Dlaczego wierzę po katolicku”) nie wspomniano ani słowa o „miłości bliźniego”. Terminu tego w całej książce użyto bodaj tylko raz.

Katolickie drogi zbawienia wypełniają świadomości wierzącego daleko odległym od ludzkich radości i ludzkich praw klimatem. Prof. Jean Lecroix, w referacie dla aktywów intelektualnego polskich katolików w kwietniu br. powiedział m. in.: „Mieć zawsze, w jakiegokolwiek sytuacji, w jakiegokolwiek okolicznościach, świadomość, że się jest grzesznikiem, odczuwać wewnętrznie — wybaczenie określenie nieco pospolite — że jest tylko „nędzną słabizną” — oto rozpoznawczy znak chrześcijanina.”

*) „Humanisme Integral” str. 15. Cyt. za L. Krolakowskim „Prawa osoby” przeciw prawom człowieka”. Myśl Filozoficzna nr 1/55.

*) „Życie i Myśl” nr 4/55 r. str. 175.

cenzorów i planistów wydawniczych.

Dobitną ilustracją błędów, popełnionych przez tych panów, stał się Światowy Festiwal w Warszawie ze swymi spotkaniami i młodzieżowymi dyskusjami, które jak żywy reportaż wkroczyły w nasze życie. Doświadczenia tych dni dowiodły, że nie potrzebujemy obawiać się konfrontacji naszej rzeczywistości ze stosunkami w innych krajach.

A oto jaskrawy przykład. Przysłuchiwałem się rozmowie przedstawicieli prywatnej inicjatywy z członkiem delegacji angielskiej. Anglik był udziałowcem armatorskiej firmy z Londynu. Nasz „prywatny” użalał się przed nim na „abunek domiarowy” jakże różny od „angielskiej sielanki. Rzeczowy Anglik rozwił jednak iluzję słuchacza jednym, wymownym dla każdego przedsiębiorcy faktem: statek jego firmy uległ awarii. Firma ubezpieczeniowa przyznała odszkodowanie 5000 funtów. Po potrąceniu podatku wypłacono netto 1200 funtów. Takich morderczych wymiarów nie zna chyba socjalistyczny system fiskalny.

Dlaczego nasi publicyści nie potrafili pisać na codzień artykułów wartościowych, takich jak np. korespondencja Gigon'a przedrukowana niedawno przez „Trybunę Ludu” z „Le Monde”. Burżuazyjny autor cytuje same fakty o Malajach. Najpierw fakty geograficzne; go-spodarcze, później społeczne, narodowościowe, wojskowe. Wnioski z takiego opisu bazy należą do czytelnika. Nie są to wnioski za kolonializmem. Wiemy, że czytelnik sam potrafi myśleć. Trzeba mu tylko podać faktologiczną pożywkę.

Pragniemy współtworzyć współczesny nam świat. By to czynić musimy go znać. Jednocześnie pragniemy mieć możliwość samodzielnego analizowania otaczających nas zjawisk i wygłaszania na forum publicznym poprzez publikację, naszych sądów, propozycji i nowych postulatów.

JERZY OSKARDY

ERNEST BRYLL P L E C Y T E M I D Y

Plotka krąży nad Uniwersyte-tem. Na wydziale prawa z nakazami pracy niedobrze.

*

Wąska, dostojna klatka schodowa w gmachu seminarium natłoczona podnieconym tłumem czekającym na decyzję komisji. Nastroj jest pełen napięcia i oczekiwań. Tu i ówdzie pelają szczone rozmowy na temat „pleców”, „chodów” i „poparcia”. Mało prawdopodobne historie, nazwiska. Dowiedzieć się czegoś konkretnego trudno — czekający milkną. W każdym razie udało mi się pochwycić kilka nazwisk, których tropem postaram się iść dalej.

KTO Z KOGO ZROBIŁ WARIATA?

Adwokatura to złote jabłko zawodów prawniczych. Wielu ze studentów wydziału prawa marzy o wspaniałej i... popłatnej karierze obrońcy. Niestety, w 1953 roku na przeszkodzie tym marzeniom stanął rozdzielnik PKPG. Wprowadził

on nielitościwą zasadę przydziału absolwentów jedynie do najbardziej potrzebujących działów administracji i gospodarki narodowej. Adwokatury rozdzielnik nie uwzględnił.

Ale wielka jest siła marzeń... Edward Jachosch został zwolniony z nakazu pracy — z powodu utraty 60 proc. zdrowia psychicznego — na przeciąg co najmniej dwóch lat. Orzeczenie lekarskie podpisane przez dwóch poważnych psychiatrów stwierdzało zaburzenia psychiczne z objawami rozkojarzenia. Był to rok 1953. Ale kol. Jachosch natychmiast po zwolnieniu z nakazu pracy złożył podanie z prośbą o wpisanie na listę aplikantów adwokackich. Już w r. 1954 z łatwością można było go na tej liście odnaleźć.

SURSUM CORDA

Inny, nie mniej ciekawy przypadek. Niejaka Barbara Chorbiewska w tymże samym roku 1953 otrzymała nakaz pracy kierującą ją do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej stwierdzała zaburzenia psychiczne z objawami rozkojarzenia. Był to rok 1953. Ale kol. Jachosch natychmiast po zwolnieniu z nakazu pracy złożył podanie z prośbą o wpisanie na listę aplikantów adwokackich w

Warszawie. W Radzie Adwokackiej udzielono mi (zresztą dopiero po długich oporach) informacji, że dla kol. Chorbiewskiej Naczelna Rada Adwokacka utworzyła specjalne stypendium równające się pensji aplikanta (inaczej etat kol. Chorbiewskiej nie zmieściłby się w prelimitarzu budżetowym Rady Adwokackiej).

Osobiście nie chciałbym nikogo podejrzewać, ale uważam postronnych narzuca się fakt, iż kol. Chorbiewska jest żoną instruktora KW PZPR kierującego z ramienia KW działalnością adwokatury w Warszawie. Absolwent przydziału prawa skłonił się dopatrywać się związku przyczynowego między tymi dwoma faktami.

Sursum corda! Dla ludzi o silnej woli i mocnych barkach — biurokratyczne przeszkody w postaci rozdzielników PKPG nie istnieją!

TRUDNY WYBÓR

W bieżącym roku sytuacja wyglądała nieco inaczej. PKPG uwzględniło w rozdzielniku adwokatury. Miejsca były. Trzeba przyznać jednak, że problem pozostał w dal-

szym ciągu skomplikowany. Studentów jest bardzo wielu, miejsc w adwokaturze kilka. Trzeba wybierać. I wybrano:

1. Barbarę Bernhaut — córkę adwokata,
2. Marię Chabowską — córkę adwokata,
3. Zofię Gąsowską — córkę adwokata,
4. Krzyszłofa Jaczewskiego — syna adwokata,
5. Krzyszłofa Kolakowskiego — syna adwokata.

Ciekawe, czy kierowała się komisja przydzielając ową piątkę do adwokatury w Warszawie. Czy poza kryterium pochodzenia społecznego były jeszcze jakieś inne względy?

Co do mnie — nie mam bynajmniej zamiaru oskarżać, wzorem innych, Komisji. Przydziału Pracy o elitarnie tendencje przy rozdziale nakazów. Wszak do adwokatury przydzielono siedem osób: dostał się tam również kol. Jerzy Rajski, którego ani ojciec ani matka nie są adwokatami (posiadają oni natomiast dobrze prosperujący zakład fotograficzny). Gwoli prawdziwości przagnę zaznaczyć, że absolwent o po-

chodzeniu robotniczym również znalazł się w wyżej wymienionym gronie. Chodzi mianowicie o Witolda Alberta, którego ojciec jest tylko kolejczym. Postronni nie doceniają tego rewolucyjnego faktu twierdząc — „No cóż, dzieci adwokatów było na tym roku tylko pięć”.

OBALAM PLOTKI

Nakazów do adwokatury było bardzo mało. Tak mało, iż przewodniczący komisji (jak mówią w obawie przed buntiem) oświadczył niektórym, że ich w ogóle nie ma.

Do takich, którym to oświadczenie złożono, należą między innymi kol. Andrzej Kmiołek, który jest 60 proc. inwalidą, a ni z tego ni z owego dostał nakaz do Prokuratury w Słupsku. To wprowadzenie w błąd zainteresowanych studentów zrodziło plotkę, że nakazy do adwokatury wydawane są w drodze prywatnej, poza posiedzeniami komisji.

Nie wierząc plotce sięgnąłem do akt. Niestety, analiza dokumentów plotki nie obalila. Daty odbioru nakazu nie na wszystkich przydzia-

łach do adwokatury pokrywają się z terminami posiedzeń, w czasie których były one wystawione. I tak: kol. Rajskiemu nakaz wystawiono dn. 2.IX.1955 r. a pokwitowanie odbioru opiewa na 3.IX.55 r., u kol. Alberta jest dwa dni różnicy. Nie na wszystkich nakazach daly się zauważyć te różnice, gdyż na pozostałych pięciu pokwitowania są bez dat. Należy zaznaczyć, że absolwent jest obowiązany do datowanego odbioru nakazu w dniu jego wystawienia (podczas posiedzenia komisji) i we wszystkich nie dotyczących przydziału do adwokatury przypadkach jest to przestrzegane.

*

To byłoby mniej więcej wszystko co zdołalem po 3 ciężkich dniach wędrówek ustalić w Dziekanacie, Adwokaturze, Komisji Przydziału Pracy. W Ministerstwie Sprawiedliwości byłem również, jednak dzięki niezwyklej przebiegłości jednego z urzędników samodzielnego Wydziału Adwokatury — odszedłem z niego.

Ale chyba trzeba będzie tam wrócić.

II Zjazd ZMP w niebezpieczeństwie (3)

Młodzież i publicystyka

Erudycja to nie wszystko

Z uwagą śledzę dyskusje o młodzieży, znam chyba wszystkie najważniejsze elaboraty o ZMP. Pamiętam dyskusję przedzjazdową, pamiętam „wielką publicystykę” jaką się wtedy wokół spraw młodzieży rozwinęła.

Cała ta dyskusja przyniosła nowe spojrzenie na ZMP i dlatego nie można mieć do niej pretensji za ogólnikowość. Rzecz szła o pryncypia. Walka była toczyła o zmianę metod w pracy całego Związku, o nową atmosferę w jego szeregach, przeciw rutynie, bezdusznosci, płytności i obłudzie. I to było dobre, tylko niestety na tym nie koniec. To dopiero początek wszelkich przemian. Poprzestawać na diagnozę to znaczy pozwalać na nieuchronną katastrofę. Czy można zatem robić zarzut tej właśnie „wielkiej publicystyce”, że zostawiła dzieło niedokończonym? Chyba nie. Spełniła ona swoją rolę dostatecznie i chociaż najważniejsze pisma w kraju nie powinny od tej chwili uważać problemu ZMP za zamknięty, główny jednak ciężar wykorzystania zdobytych dyskusji spada na publicystykę (nazwijmy ją tak) „fachową”. Pod tą nazwą rozumiem grupę pracowników i współpracowników „Sztandaru Młodych”, „Walki Młodych”, autorów wydawnictw książkowych i broszurowych związanych z ruchem młodzieżowym. W pojęciu „publicystyka fachowa” mieszczą całokształt działalności wydawniczej ZMP. To właśnie na nią spada obowiązek przeistaczania ogólnych syntez w szereg konkretnych postulatów, to właśnie ona powinna w oparciu o słuszną analizę zakończoną negatywnym podsumowaniem wystąpić z pozytywnym programem przemian, na którym mogłyby się oprzeć najszerze rzesze aktywny krajowego. A jak inaczej jest w praktyce? Postulatywna, a dalej idąc, instrukcyjna rola „pismienictwa zetempowskiego” jest nadzwyczaj mierna, prawie żadna. Aktywista Związku ma zbyt słabą pomoc w prasie młodzieżowej i nielicznych broszurach wydawanych przez organizację. Niewielką z nich korzyść w swej codziennej pracy. Wielu błędów i wypaczeń dałoby się uniknąć, gdyby Zarząd Główny chciał pamiętać o tej prostej prawdzie.

Tow. Niewiela na krajowej naraździe aktywny studenckiego skarżył się, że niektóre ogniwa uczelniane pojęły zbyt płytko idee V Festiwalu i nie potrafią wykorzystywać jego dorobku w pracy politycznej. Jest to rzeczywistość prawda. Festiwal odbił się stanowczo zbyt słabym echem wśród młodzieży (oczywiście, jeśli pominąć plotki o obyczajach warszawianek). Czy jednak winna nie spada w poważnym stopniu na Zarząd Główny? Czy „Walka Młodych”, która poświęciła Festiwalowi numer sierpniowy i część wrześniowego — próbowała choć jednym dobrym artykułem dać odpowiedź na pytanie: jak korzystać z tego dorobku? Wiem, że można „o-

balic” moje zarzuty twierdzeniem o konieczności samodzielnego szukania rostrzygnięć zgodnie ze „specyfiką” danego środowiska. Ale ten argument wcale mnie nie przekonuje. Istnieją bez wątpienia powszechne w takich wypadkach formy pracy, które kierownictwo Związku może i ma obowiązek podsunąć swemu aktywowi nie w postaci kategorycznego polecenia lecz dyskusyjnej propozycji, nad którą trzeba się zastanowić, którą trzeba przemyśleć przed ewentualnym wykorzystaniem. Czego można wymagać od aktywu jeśli Zarząd Główny (sądząc po publikacjach) skupił uwagę na tańczącej i calującej się stronie Festiwalu?

Nie jest to wypadek odosobniony. W całym szeregu pozycji broszurowych wydanych przez ZG raz ich niski poziom i mała przydatność dla bardziej pogłębionej pracy. Starając się uniknąć głosów, podam parę przykładów. Bynajmniej ich nie szukałem, same nasuwają się przed oczy.

Oto materiały szkoleniowe „Na dzień rozpoczęcia ZWMP” (Iskry, 1953). Broszura jest pomyślana jako pomoc dla aktywu terenowego w przeprowadzaniu seminariów. Pomyślana jest jako lektura dla uczestników szkolenia, pogłębiająca ich wiedzę z historii ruchu. Zastanawiam się na przykładzie podanej broszury jak publikacja tego typu spełnia swoje zadanie. Zawartość książeczki jest dziwna; zbiór przypadkowych elaboratów nie nie dający aktywiście. Jeżeli można zrozumieć, że uchwała ZG ZMP w sprawie obchodu dziesięciolecia powstania ZWMP powinna się znaleźć w tym małym kompendium, to nie wiem po co potrzebne są listy uczestników centralnej akademii, w których nie ma nic poza frazesami. Wydać mi się, że wykorzystanie tych materiałów w prasie codziennej byłoby właściwsze niż pchanie ich przemocą do broszury, która ma zgłębiać ich umysły.

Jakie zadania? Podstawowym celem jest przekazanie czytelnikowi pewnej sumy wiedzy o organizacji będącej żywą tradycją ZMP. Tymczasem i uchwała ZG ZMP w sprawie obchodu dziesięciolecia powstania ZWMP powinna się znaleźć w tym małym kompendium, to nie wiem po co potrzebne są listy uczestników centralnej akademii, w których nie ma nic poza frazesami. Wydać mi się, że wykorzystanie tych materiałów w prasie codziennej byłoby właściwsze niż pchanie ich przemocą do broszury, która ma zgłębiać ich umysły.

„Sztandar Młodych” i „Walka Młodych” są organami ZG ZMP. Mamy więc prawo winić te instancje za ich poziom, użyteczność wychowawczą i organizacyjną. Skoro już była mowa o Festiwalu to dalej posłużmy się nim w egzemplifikacji.

„Walka Młodych” nie opublikowała ani jednego artykułu, który nadawałby się do wykorzystania, który byłby pomocą w pracy organizacyjnej. Nie spełnił też roli opublikowane w n-rze 8 przemówienie tow. Wegnera, ogólnikowe, raczej deklaracyjne niż postulujące.

Jak spełnić swe zadania „Sztandar Młodych”? najlepiej świadczyć artykuły w nim zamieszczone. Oto tytuły kilku z

nich: „354.000 zł!”, „W M-T pracują za uczestników Festiwalu”, „Dwa miliony młodych wita Festiwal nowymi tonami węgla i stali”. Nie chodzi w tej chwili o to czy słuszne jest takie „okazywanie” wznagania tempa produkcji. Być może jest to słuszne, ale nie można wyłączać do (ciężko pojętych) spraw produkcji sprowadzać istoty i znaczenia Festiwalu. Te cyfry, którymi tak zachłystuje się „Sztandar” są złudne, znamienitym jest fakt, że mamy więcej meldunków o podjęciu zobowiązań niż o ich wykonaniu.

Fakty głębsze, świadczące o pracy wychowawczej Związku — oto co chcielibyśmy widzieć za tymi krzyżującymi tytułami. Niestety bardzo nieliczne artykuły spełniają te wymagania. A organy prasowe przypominające wciąż o dorobku II Zjazdu same jakoś zbyt płytko pojęły jego znaczenie.

Zjazd dowiódł konieczność pogłębienia pracy wychowawczej w szeregach ZMP, zwrócenia uwagi na problemy moralne, wyrugowania schematu z kryteriów, za pomocą których oceniamy ludzi, postulował wysubtelnienie metod oddziaływania na psychikę młodzieży, rozwiązań zbudowania tych, którym wystarczała zewnętrzna lojalność członków. A tymczasem historyjka zaopatrzona szumnym tytułem „Tajemnica zakochanych” dowodzi, że wszystkie ostre i palące zagadnienia obyczajowe nurtujące młodzież przerosły się na księżyc. Przecież nie o to chodzi. Święty aktywista, który nie ma czasu dla narzeczonych, bo jest zaabsorbowany budową kajaka, to już trochę anachronizm. Pamiętam rozmowy w terenie; aktywiści określali tego bohatera lapidarnie: „warlat”, co ma w tym wypadku znaczyć coś bezdenne głupiego i nierozsądnego. Sprowadzenie konfliktów moralnych i politycznych na tę płaszczyznę oznacza zupełną nieprzydatność pisma dla młodych czytelników.

Kiedy czytałem w „Sztandarze Młodych” nr 164 z r. 1955 — „Młodzi” dwa lata. Przeszedł burzliwy, odważnie obnażający braki w pracy z młodzieżą, II-gi Zjazd. Hasło — bliżej życia — bliżej młodzieży, jej trosk i radości przerosło w wiele kołach w dobrą i skuteczną pracę — zastanawiałem się dlaczego nigdy na jego łamach nie można znaleźć tych pozytywnych przykładów, o których istnieniu nas zapewnia. To dziwne. Tym bardziej, że nie podobno nie wychowuje tak skutecznie jak dobry przykład. Jeżeli istnieją już komórki, które zdołały wprowadzić w życie wyniki II-go Zjazdu, to dlaczego nie upowszechnić ich dorobku?

Tu wydaje mi się konieczne jedno zastrzeżenie. Mamy smutne doświadczenie w tzw. upowszechnianiu doświadczeń. Pamiętam przecież dodatki do PO PROSTU z ubiegłego roku, usiłujące przeszczerpić na polski grunt doświadczenia Komsołtu na wyższych uczelniach radzieckich. Otrzymaliśmy bardzo kiepską relację; były to ogólnikowe recepty doskonałością wszystkim znane i wcale nie nowe. Należy z tym w przyszłości zerwać.

Tow. Niewiela wspominał w swym referacie, że planuje się wydanie broszury o doświadczeniach ZMP na wyższych

uczelninach. Wypada śmiało, że tak późno nie zrozumiano potrzeby aktywu szkolnych i uczelnych ustraszonych się błędów innych publikacji tego rodzaju.

Na koniec powróć jeszcze do dyskusji przedzjazdowej. Zamarlała ona w prasie społeczno-kulturalnej, co wcale nie oznacza by rozwiązano ostatecznie problem pracy ZMP. Konieczna jest kontynuacja tej dyskusji. Mało, niezbędne jest rozwijanie jej, wysuwanie nowych problemów, bo przecież Zjazd nie dał odpowiedzi na wszystkie pytania. Rodzą się nowe konflikty, i nowe błędy, dochodzimy do nowych rozwiązań. Aby właściwie spełniać swą rolę publicystyka młodzieżowa powinna być nie tylko komentatorem uchwał zjazdowych lecz przede wszystkim reflektorem oświełającym tereny, dotychczas niezbadane.

ZBIGNIEW LESKI
Wrocław

*) Nie wyłamam z tej grupy PO PROSTU, ale uważam, że jako pismo bądź co bądź literackie, przeznaczone dla węższego grona czytelników, ma nieco inne zadania. Dlatego PO PROSTU w zasadzie w tej korespondencji pomijam.

„Stosunek autorów w artykule pt. „II Zjazd ZMP w niebezpieczeństwie” do wypowiedzi i znaczących nam faktów oburzył nas i skłonił do napisania tego listu”. Tak zaczęły swoją polemikę koledzy Marek Zora i Jan Wilaszczuk z Łodzi.

Co oburzyło naszych czytelników? „Postulujemy się faktami — wyjaśniają. — Znana nam koleżanka X jest pracownicą dużego zakładu produkcyjnego w Pabianicach. Zatrudniona jest jako laborantka. Koleżanka ta dokształca się w wieczorowej ogólnokształcącej szkole średniej i nosi się z zamiarem studiowania. Należy tu dodać, iż zarabia obecnie około 800 zł.

Koleżanka ta chce studiować, gdyż poza pewnymi zamożnościami do nauki widzi w tym możliwość poprawienia swoich warunków bytowych. Zapytujemy czy koleżanka ta reprezentuje poglądy drobnomieszczańskie, czy też nie. Patrząc na nią oczyma autorów, widzimy w niej typową przedstawicielkę ideologii drobnomieszczańskiej”. Nie znamy koleżanki X. Dlatego nie możemy określić jej ideowej postawy. Niemniej autorom listu oraz kolegom Andrzejowi Ostrowskiemu i Andrzejowi Wonszakowi chcemy jak najbardziej odpowiedzieć: nigdy, w żadnym wypadku nie uważaliśmy ludzi, którzy chcą poprawić swoje warunki życiowe za drobnomieszczańskie, ponieważ naszym zdaniem wysokość zarobków w żadnym wypadku nie

Zabierając głos w dyskusji nad artykułem „II Zjazd ZMP w niebezpieczeństwie” chciałbym dorzucić tylko parę uwag.

Solidaryzując się z kolegami Chelstowskim i Godkiem, gdy twierdzą, że: „najgorsze jest ciche zgadzanie się ze złem, kiedy trzeba głośno i gniewnej krytyki. Bierność uznania, że nie można inaczej, że wszystko już skrytykowano i wszystko powiedziano, a z tego i tak nic nie wyjdzie i nic się przez to nie zmieni.”

Nie godzę się natomiast, gdy źródła zła koledzy doszukują się wyłącznie w „ideologicznej słabości naszego aktywu... nieznamościami marksizmu — leninizmu”. Nie powinno się moim zdaniem spychać całego zagadnienia na płaszczyznę problemów szkoleniowych.

Znamość zasad, jakkolwiek ważna, to jeszcze nie wszystko. Z posiadanych wiadomości można robić rozmaity użytek. Powiem nawet więcej — „otrząskanie” teoretyczne ułatwia niektórym prześlizgiwanie się mimo problemów — robienie dobrego „wrażenia” i „gaszenia” rwących się do czynu zapaleńców.

Nie można stawiać znaku równości pomiędzy wykształceniem ideo-

logicznym a ideowością. Wykształcenie jest tylko „arsenałem w stanie spoczynku”. Ideowość natomiast nie-rozerwalnie łączy się z walką, z czynem. W działaniu niejednokrotnie błędzi się, ale jednocześnie toruje drogę ku lepszym.

Warto zastanowić się, czy aby nasi aktywiści nie nadmiernie dbają o kryształową poprawność, o to aby żaden cień nie mógł zakraść się do ich życiowych kartotek.

Wydać mi się, że właśnie tu, w problemie ideowego zapалу aktywistów, kryje się sedno zagadnienia. Zimni dyplomaci tak pasują do młodzieżowego aktywu, jak sztywny kołnierzyk i rekawiczki do sportowca. Pod ich patronatem dyskusje nie staną się nigdy szczerze i bogate w treść, nigdy, choćby polknęły one wszystkie mądrości świata.

Sama erudycja, jeżeli nie ożywia jej zapal i twórczy niepokój, musi nużyć. Apatia zaś, nuda i wątpienie doskonale mogą krzewić się tuż pod bokiem nieskazitelnej poprawności... Jest to prawda, o której nie można zapominać.

ZYGMUNT KOMOROWSKI
Poznań

Aby nie było niejasności

Jest wykładnikiem ideologii człowieka, a dążność do poprawy warunków — to naturalny, słuszny i bardzo „pozytywny” czynnik rozwoju społeczeństwa. Sprzecznosci między potrzebami człowieka, a możliwością ich zaspokojenia będą na pewno jednym z głównych motorów napędowych rozwoju społeczeństwa bezklasowego.

Zenujemy się wypowiedziom takim truizmy, jak te, że celem naszego społeczeństwa, ustroju jest zapewnienie każdemu człowiekowi jak najlepszych warunków życia, że temu celowi służą wszystkie nasze wysiłki, a między innymi praca organizacji zetempowskiej. Że chcemy, aby jak najwięcej ludzi posiadało radio, telewizory, motocykle i samochody. Abyśmy dobrze i smacznie jedli, mieszkali w pięknych, nowoczesnie umeblowanych paropokojowych mieszkaniach, chodzili w „setkach” różnego koloru i kroju na różne okazje. Aby teatr, opera i smakowanie w najprędzej-szych dziełach sztuki stały się „chlebem powszednim” każdego człowieka. Takie jest w ostatecznym rachunku założenie naszego ustroju.

*

Czy więc ludzi, których działalność zmierza do zwiększenia swej pensji o 300 czy 400 zł można nazwać drobnomieszczańcami? Otóż w pewnych wypadkach tak, co nie przeczy jednak wierzeniu, że dążność do poprawy warunków życiowych nie określa postawy ideowej człowieka, na którą składa się szereg czynników? Pominiecie tych czynników w przykładach podanych w naszym artykule było poważnym błędem, który chcemy w niniejszym felietonie sprostować.

Nam chodzi bowiem o rzeczywistą ideologię drobnomieszczańską, o rzeczywistą postawę życiową drobnomieszczańską. A to jest coś zupełnie innego niż sugerują nam autorzy cytowanego listu.

Ich błąd polega na utożsamianiu słusznej walki każdego człowieka o poprawę materialnych warunków życia z drobnomieszczańskimi dążeniami i celami człowieka.

Nasi czytelnicy powołują się na przykłady podane w artykule. Piszemy o młodym pierwszorzeczniku, któremu „Mina... się wyraźnie wydłuża, gdy dowiaduje się, że obecnie absolwenci tego wydziału dostali nakazy na posady z uposażeniem 800—900 zł miesięcznie”. Przytaczaliśmy również rozmowę wstyszaną na jednej z uczelni warszawskich, w której studentka komunikowała drugiej, że przenosi się na inny wydział tylko dlatego, że „tam są lepsze możliwości zarobku”.

„Łatwo jest zarzucić studentowi — piszą wspomniani czytelnicy z Łodzi — że przenosi się z wydziału na wydział myśląc o lepszym wynagrodzeniu. Czy są to poglądy drobnomieszczańskie? My jednak twierdzimy, że nie”.

A my, proszę kolegów, twierdzimy, że tak! Że postawą ludzi w powyższych przykładach zdradzającą cechy, które nazwaliśmy drobnomieszczańskimi, ponieważ głównym motywem decyzji tych ludzi, nie było zamożnienie do kierunku studiów, do swej przyszłej pracy, ale przeciwnie — rodzaj studiów, rodzaj ich przyszłej pracy był im zupełnie obojętny. Ważne były tylko pieniądze!

Dla nas drobnomieszczańcem (w sensie postawy życiowej) jest ten, kto w życiu chce tylko wyłącznie własnego dobrobytu nawet kosztem innych. Kto ocenia świat i ludzi poprzez korzyści jakie mogą mu przynieść, nie dając jednocześnie im nic od siebie. Kto stawia swoje osobiste interesy niejako w centrum świata.

Stąd główny i jedyny cel swego życia upatruje w nieustannej pogoni za pieniędzmi, gromadzi dobrą materialną, przynajmniej ocy na to, że inni nie mogą tego osiągnąć, że w konkretnych warunkach naszego społeczeństwa świadomy

człowiek powinien szerszej wychodzić poza płoski własnego podwórka i troszczyć się o dobrobyt innych.

Czy w biurokracii, karierowiczu, lisznie nie ukrywa się drobnomieszczańskich? Czy człowiek bezideowy, cynik i snob, oportunistą kierującą się wyłącznie własnym interesem nie przypomina do złudzenia „cnotliwego” mieszczańca? Czy za odmowami wyjazdu na prowincję, lokowaniem się na cęplach posadkach nie czai się skrawek drobnomieszczańskiego wygodnictwa? A czyją cechą jest plotkarstwo, „rytykanctwo i wszelkie metody szkolidwaj”, „rozróbki”?

Oczywiście nie jesteśmy skłonni wszystkich złych cech człowieka zwać na karb ich obciążenia drobnomieszczańskich. Niemniej, w nich widzimy jedno z głównych źródeł ideologicznych i moralnych wypaczeń ludzi.

Zadajemy sobie sprawę, że drobnomieszczański światopogląd w naszych warunkach nabral innych barw, stepił nieco swe kapitalistyczne ostrze, niejako przystosował się do nowej powstającej formacji.

Przezwanie dzisiejszy drobnomieszczańskie akceptuje nasz ustrój. Najczęściej jednak jest to uznanie bierność, niepoparte czynami, konkretną działalnością. Bo w istocie jego „drobnomieszczańskiej natury” leży właśnie dążenie do jak najlepszego „urządzenia się” w naszym społeczeństwie, do zejścia na margines aktualnych, palących problemów jakie rozstrzygają prawdziwi uczestnicy budowania nowego ustroju w naszej ojczyźnie.

Zadajemy sobie sprawę, że niezmienne trudno jest odróżnić drobnomieszczańską z krwi i kości od człowieka zarażającego się tymi ideami starego świata, lub ulegającego nastrojom drobnomieszczańskich środowisk. Dlatego też nie powinniśmy się ludzi czerumym krawatem i państwowotwórczymi pokrzykiwaniami, za którymi kryją się w wielu wypadkach — światomie lub nieświadomie — zupełnie nierewolucyjne poglądy. Co więcej, powinniśmy głębiej zastanowić się, dlaczego dobry student lub aktywista „ni stąd ni zowąd” niespodziewanie odmawia wyjazdu na wykopyki lub woli pozostać w Warszawie niż jechać do „świata zabitego deskami”, dlaczego niektórzy studenci stroną od angażowania się w ostre ideologiczne dyskusje publiczne, chociaż prywatnie mówią bardzo wiele i mają swoje zdanie. To chyba nie jest tylko nieśmiałość.

Można się zastanawiać nad wieloma zjawiskami w naszym życiu młodzieżowym, które do tej pory tłumaczyliśmy tylko złą pracą wychowawczą Związku i biernością młodzieży. Właśnie ta bierność... czyż trzeba dopowiadać do końca, gdzie można dopatrywać się źródeł tej ludzkiej postawy? Gdzieś tam w ideologii drobnymieszczańskich znajdujemy swe wytłumaczenie sprawy, których do tej pory nie umieliśmy rozwiązać.

Aby dyskutować — trzeba mieć jasność w przedmiocie sporu i używanych pojęciach. Myślimy, że niniejszy felieton w zdobyciu tej jasności trochę pomógł.

WL. GODEK

CO DALEJ?

pytanie ciągle aktualne

sprowadzono nieomalże całe ZMP do „kawy i zabawy”.

W czym szukać głównych przyczyn słabości naszej pracy pozjazdowej?

Po III Plenum naszej partii odbyły się w Warszawie dwutygodniowe szkolenia np. dla uczelnianych działaczy partyjnych, prasa zamieszczała całe cykle wartościowych artykułów „na tematy III Plenum”. KC wysłał w teren cały sztab ludzi, by na miejscu odpowiadali na wątpliwości, wyjaśniali, przekonywali i radził jak pracować po nowemu. Po II Zjeździe czegoś podobnego nie obserwowaliśmy. Instancje ZMP namawiały tylko by „pracować po nowemu” oraz walczyć z rutyniarstwem, sloganizmem, starymi formami pracy, i nuda.

Realizację najtrudniejszych w historii Związku uchwał II Zjazdu pozostawiono w praktyce tylko i wyłącznie „terenowi”, a teren — sobie samemu. Zdezorientowany aktywny obarczony był wszystkimi zadaniami pozjazdowymi, a jednocześnie wyśmiewany za liczne swoje grzechy główne przez drobnomieszczańskich maruderów.

Summa summarum wyrzucono z organizacji wszystkie „stare” formy pracy, łącznie z czynnościami, od których zaczyna się istnienie wszelkiej organizacji: zlikwidowano systematyczność zebrań, zaniechano spisów członków, składki organizacyjne nie były zbierane po kilka miesięcy, mundur organizacyjny, a nawet znaczek ZMP-owski należał już dziś nie wiedzieć dlaczego do „wstydliwych” przesłózek.

A przecież wśród tych starych form pracy były i dobre, wypróbowane, których ani II Zjazd ani organizacja wyprzeć się nie chciały. Ale okres pozjazdowy był — i to głównie z winy kierownictwa ZMP — okresem ogólnej dezorientacji politycznej i organizacyjnej. Dochodziło nawet do tego, że często aktywni szedli w zawody z kompletnymi bezideowcami w rugowaniu z życia organizacji wszystkiego, co nie było absolutnie nowe. Ponieważ znów nie miał zielonego pojęcia na czym z kolei to „nowe” miało naprawdę polegać — zawisłymi jak kometa w próżni, gubiąc wszystko co było wartościowe i cenne w dorobku Związku, W ten sposób preparowa-

ny ZMP stał się czymś tak dalece niepotrzebnym, że niektórzy członkowie jak np. kol. Drożdż z czwartego roku polonistyki UJ opowiadali się poważnie za rozwiązaniem organizacji.

BŁĄD PIERWSZY

Instancje wyższe, jak np. Zarząd Wojewódzki, utartym zwyczajem coś tam doraźnie polecały, żądały sprawozdań, lecz nie sprawowały politycznego kierownictwa i kontroli nad terenem. Wątpię, czy tylko w trosce o rozwój samodzielności i inicjatywy oddolnej instancje ZMP-owskie zawiesiły po II Zjeździe swoje faktyczne kierownictwo organizacją — one jeszcze nawet dzisiaj — gdy spora część aktywu próbuje otrząsnąć się z rocznego blisko letargu i dopracowuje się w życiu organizacji nie tyle może nowych form, co nowych treści — nie są zdolne do sprawowania takiego właśnie kierownictwa. I o to można chyba mieć do nich poważne pretensje.

Zjazd dał wspaniałe, ale tylko potencjalne, perspektywy nowej pracy, do tego jednak, by stały się one codziennym życiem kół ZMP, potrzebny jest wielki wysiłek całej organizacji. A to oznacza przede wszystkim mądrą i kształtującą pracę z aktywem, która jest punktem wyjściowym i warunkiem niezbędnym do realizacji jakiegokolwiek zadania. Te starą i powszechnie znaną zasadę wyłączone niestety z form pracy ZMP.

*

Warunkiem istnienia i rozwoju każdej organizacji jest stawianie przed nią coraz to nowych zadań politycznych. Nie wiem jak rzecz wygląda np. między Zarządem Głównym a Zarządem Wojewódzkim (sądząc po pracy ZW też chyba nienajlepiej), ale jeśli chodzi o organizację terenową, to uczelniana to ta otrzymuje tylko i wyłącznie zadania organizacyjne (za to w poleżnej ilości) na których „kłada się” nie tylko poszerzenie aktywu, ale całe zarządzenie. W tej sprawie nie się nieomalże nie zmieniło od czasu owej, przedzjazdowej jeszcze dyskusji, o przeciążeniu aktywu zadaniami i odprawianiu. Odnosi się wrażenie, że kierownictwo organizacji doszło do wniosku, że odciążając aktywność, to znaczy przestać z nim pracować.

ALEKSANDER SZYMANEK
Uniwersytet Jagielloński

KAWA I ZABAWA

W tym tak ciężkim dla organizacji okresie przyszedł II Zjazd, który stworzył olbrzymią potencjalną podstawę do zmiany stylu pracy całej organizacji. Jednakże spora część młodzieży, w tym również aktywny, zupełnie błędnie zrozumiała założenia Zjazdu. W imię uatrakcyjnienia

P O P R O S T U

Miłość^{*)}

(fragmenty)

Kwiatami znów obróś świat
świat wiosną głosi.
I znów — sprawa, nie załatwiona od lat —
kobiet oraz miłości.
Lubimy parady i strojną pieśń.
Pięknie mówimy, z trybuną obcy.
Lecz często pod tym, porosły w pleśń,
ehowa się stary — prastary bycik.
„Naprzód, towarzysze...” — brzmi śpiew jęgoomości.
A w domu, tymże grzmieć barytonem,
ryczy na żonę, że barszcz na kościach
i że ogórki nie dokwaszone.
Goni za każdą, byle z nogami.
Pięć bab na dobę zmieni nasz blondyn.
U nas wolność — nie monogamia.
Precz z mieszczaństwem i śmierć przesądom!
Z kwiatka na kwiatek taki pasikoń
przefruwa — i dale, w te pędy.
Jedno tylko nie przemawia doń —
to alimenty.
A gdy pokocha to rozdział nowy
zatrwa życie zazdrości jadem
i mierzy w miłość kalibrem rewolwerowym,

niewiernej kula płacąc za zdradę.
Lafiryndzie biedaczek
dał się złapać na haczyk.
On haruje, a ona wciąga goni
za coraz to innym nieponiem.
A dzieci z takich, jak te. A właśnie, rodzin?
— Jak rodzicom, to i nam chyba wolno! —
Miłością dla sportu zajmują się młodzie,
nim jeszcze z ławą rozstała się szkolną.
Nie bronię stad. Pasmem dymu wąskim
niech się rozplynie, niech prędzej spłonie
ów czas, gdy matki syczały jak gaski,
a dzieci ojciec-gąsior bronili!
Lecz nie po to Październik
życie nam uprościł,
by nasz ocean zamieniał w stęchły staw.
Trzeba głos podnieść w obronie czystości
naszych stosunków i miłosnych spraw.
Nie wykręcaj się: „To nie małżeńskie więzy”.
Nas do ksiąg cerkiewnych żaden pop nie wpisze.
Trzeba związać życie kobiet i mężczyzn
słowem, które nas jednoczy:
„Towarzysze”.

Przełożył ANATOL STERN

Nie jubilujcie!

(fragmenty)

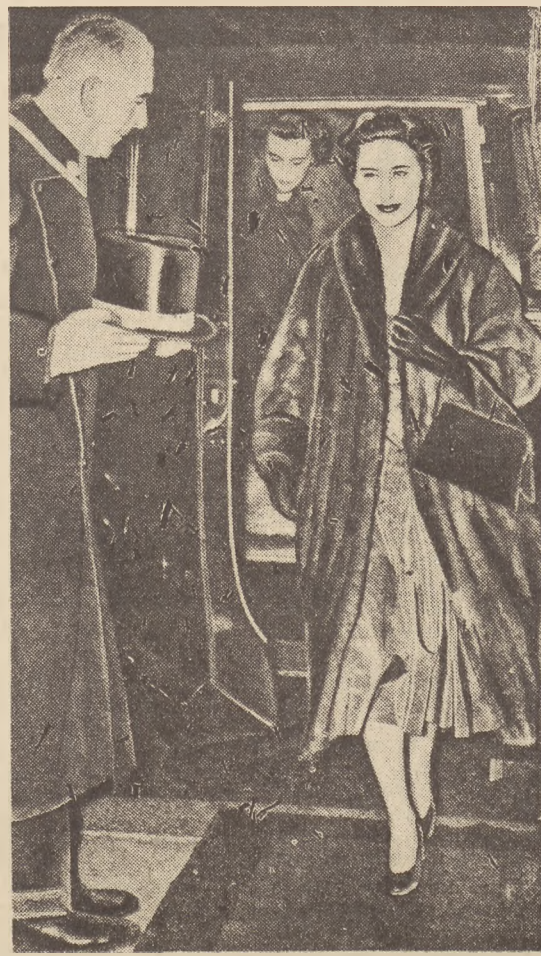
O Październiku mówić chcę,
i nie słowami, nie dzwoniąc w pustą przestrzeń,
zdobłącymi ciepły kąt z wanną —
nazwać by rewolucję tysiącem takich spieszceń,
jakimi w pierwszy dzień nazywa się umiłowana!
Ale czy słowo takie na czasie?
Czy pora spocząć w zwycięskiej krasie?
Na was, na mnie w ulicach stu,
padną ognie czerwonych flag.
Będzie gardel grom za granicę nieść
Października ogniową wieść.
Jubileusz. A dla nas — w produkcji zwrot,
przemierzony litrami pot.
Wiemy: strój komunizmu i pokarm wszystkim
w cyfrach przedwojennych statystyk.
Towarzyszu, ty mówisz bój zdrobnił wśród liczb?

„Patrz w drobniaki.” — nakazał Iljicz.
Będzie tak: pod nogami grunt się zakolysze
lepiej od japońskich trzęsień.
Cisza przed bitwą w hut okopach,
milczy Anglia strajkujących kopalń.
Niech tam chińszczyzna — język misterny —
każdy wie i tak, że Kanton
toczy bój ten sam, o ten sam Październik,
co riazński nasz Iwan czy Anton.
Wolchowstrojem rośnie rewolucyjna wiosna
milczeniem Londynu, Chin kanonadą.
Dla nas dziewiąty Październik — nie dzień ukojenia.
Przez takich dziewiątych tysiąc,
mózgu żywy, wiecznie żywa myśl Lenina,
do ostatnich prowadź nas zwycięstw!
1926

Przełożył LUCJAN SZENWALD

*) „Wybór satyr” — Włodzimierz Majakowski. Uka-
że się w najbliższym czasie nakładem Sp. Wyd. „Czy-
telnik”.

ANGIELSKIE KŁOPOTY



Mamy przed sobą kilka numerów „Daily Mirror”, najpoczytniejszej gazety w Anglii, która reklamuje się jako „największy dziennik sprzedawany na świecie”.

W każdym z tych numerów pismo od 4 do 5 kolumn poświęca zamierzonemu związkowi księżniczki Małgorzaty z plk. Piotrem Townsendem, zwanym przez „Daily Mirror” „człowiekiem, na którego są zwrócone oczy całego świata”.

My jednak — z ostrożności — przypomnimy kim jest Piotr Townsend.

Jeszcze za życia Jerzego VI plk. Piotr Townsend był adiutantem królewskim. Wówczas też poznał siostrę dzisiejszej królowej Wielkiej Brytanii, księżniczkę Małgorzatę i jak to się mówi zapłonął do niej uczuciem. Małgorzata odwzajemniła mu je (Townsend jest przystojnym mężczyzną, przypominającym nieco Adolfa Rudnickiego), ale do happy-endu było jeszcze daleko. Księżniczka nie była jeszcze pełnoletnia i jej małżeństwo wymagałoby zgody królowej. Elżbieta nie mogła wydać na nie zgody, gdyż Townsend jest rozwodnikiem. Zaś w myśl nauk kościoła angikańskiego rozwód jest infamią.

Obecnie księżniczka Małgorzata ukończyła 25 lat i formalnie rzecz biorąc może sama zdecydować o swym losie.

Poniżej przytaczamy kilka listów zamieszczonych w „Daily Mirror” poświęconych sprawie księżniczki i plk. Townsenda. Wszystkie one zostały wzięte z numeru, który ukazał się prawie w przeddzień Konferencji Genewskiej.

Od Mrs. A. z Essex.

„9 lat temu wyszłam za mąż za człowieka, który był rozwodnikiem. Mielśmy wówczas tyle samo lat co Małgorzata i Piotr. Och, jakież to było przestępstwo w oczach mojej rodziny. Przeżyłam piekło... Ale mimo to jestem dzisiaj bardzo szczęśliwa.

Powiadają: Pozwólcie ludziom w takich sprawach decydować samym. Jeśli nawet zbłądzą, nieślawą spadnie tylko na ich głowy”.

Od „Rozczarowanego” z Cheltenham, Glos.

„Czy nie czas już najwyższy, by Księżniczka uszanowała uczucia

swej siostry, jej tak cenny czas i położyła kres temu romansowi? Nasza droga Królowa jeszcze nigdy nie zawiadła w utrzymaniu majestatu Tronu.

Nasuwają się tysiące pytań w rodzaju tego: Czy naprawdę angielska Księżniczka nie może znaleźć godniejszego kandydata jej ręki niż rozwiedzionego mężczyznę?”

Od M. B. Moll, Blakebrook, Kidderminster.

„Kanonik Kirtland oświadczył, iż to co zamierzają zrobić Małgorzata i Piotr będzie afrontem, i to afrontem uczynionym z premedytacją, wobec religii. Jednak od dzieci-

BELLUM CONTRA OMNES □ BELLUM

36 wierszy bzdury

Przeczytałem w numerze 259 „Sztandaru Mrocznym” na czołowie pierwszej kolumny notatkę W. B. pt. „Żyje pamięć o bonaterskim komсомоле” i zdziwiłem się nieprzyjemnie. W dniu tym przypadała właśnie 37 rocznica powstania Komсомола i artykuł o Bohaterach Związku Radzieckiego, Grigoriju Pawłowiczu Kunawinie, który poległ przy wyzwoleniu polskiej wsi Harasimowice na Białostocczyźnie, miał być zasadniczym materiałem reakcji na tę uroczystość. Notatka W. B. koresponduje z zamieszczoną obok depeszą ZG ZMP do KC WLKZM i prawdopodobnie tylko dzięki temu znalazła się na tak eksponowanym miejscu. Ponieważ jednak autor notatki z zaciągającą jasnością pomieszał fakty historyczne z z wytworem swej bujnej wyobraźni, czytelnicy „Sztandaru Wiedzy” otrzymali zupełnie błędną informację o radzieckim żołnierzu, który tak jak Matrosow nakrył własnym ciałem otwór niemieckiego schronu bojowego i dzięki temu umożliwił swym towarzyszyom wyzwolenie Harasimowicz.

Trudno wyliczać poszczególne niesłabości W. B. Wystarczy powiedzieć, że na 103 wiersze notatki, 36 jest fantazją. Ponieważ jednak zależy mi na odczuciu prawdy od fałszu, chciałbym wymienić kilka zasadniczych nieporozumień. Kunawin nie był komсомолецem. W roku 1944 liczył 41 lat, a więc dawno przekroczył górną granicę wieku w WLKZM (dziwne, że o takiej „drobności” nie wie współpracownik dziennika młodzieżowego). Dalej: Harasimowicz, podczas którego poległ Kunawin, nastąpił nie 25 lipca 1944 r. jak sugeruje W. B., lecz 28 lipca. Szturm ten prowadzono w dzień, nie w nocy i Kunawin nie dowodził oddziałem czerwonoarmistów, gdyż miał stopień starszego strzelca (terejtor). Kunawin był organizatorem partyjnym kompanii, „wodził” nią kapitan W. Tolstow. Szturm nie miał na celu otworzenia drogi dla czołgów, gdyż dla każdego, kto był chociaż raz w Harasimowiczach i oglądał pole walki jest jasne, że czołgi nie mogły przejechać przez bagno, ciągnące się wzdłuż rzeki Siderki. Chodziło po prostu o przełamanie zaciekłego oporu Niemców i wyzolenie wsi, w której faszyści przystąpili już do pacyfikacji. Grobła nie była pod ostrzałem niemieckich kae-

stwa uczono nas, że Bóg jest miłością. Myślę, że oświadczenie kanonika pozostaje w sprzeczności z nauką, którą głosi i jego stanem duchowym. Masz życząc temu stadiu dobrze, w myśl prawdziwego ducha chrześcijańskiego!”

Od W. Edgar - Cousins, Sheen Court, Richmond, Surrey.

„Mam nadzieję, iż siostra Królowej nie pójdzie w ślady swego wuja, Księcia Windsor. Jestem pewien, iż jej zmarły ojciec nigdy by nie pochwalił tego związku i trudno mi uwierzyć, by miało to uczynić tysiące lojalnych poddanych Królowej.

Od Victora Tate, Bromley, Kent.

„Księżniczka na serio pokochała Anglika, który tak wiele uczynił dla swego kraju. Wydaje się jednak, iż są ludzie, którzy stawiają przeszkody na ich drodze ku szczęściu. Czyż mogłoby się to zdarzyć gdyby „oficjalni swaci” wybrali dla Księżniczki jakiegosi dziesiątej kategorii księcia europejskiego? Pozwólcie, by zapanowała prawdziwa demokracja, pozwólcie się im ożenić!”

Od Mrs. R. E. Bunch, Woodsome-road, London.

„Dowiedziałam się, iż setki kobiet oklaskami przyjęły przemówienie duchownego, który zaatakował Księżniczkę za jej romans. Jakże to podłe i egoistyczne! Jestem pewna, że większość z nich na miejscu Księżniczki postąpiłaby tak samo. I następnie oświadczyłyby reszcie świata, żeby się nie wtrącał, bo to nie jego interes”.

Od katolickiego rojalisty, Darrford, Kent.

„Dla milionów katolików związek Księżniczki z plk. Townsendem nie będzie legalnym małżeństwem. Nie będzie nim dlatego, że żona Townsenda, matka jego dwóch synów jeszcze wciąż żyje”.

Z ostatniej chwili
Jak podają radio Paryż księżniczka Małgorzata nie poślubi plk. Tawsenda. Księżniczka miała oświadczyć, iż nie pozwala jej na to sumienie religijne.

mów z lasu, gdyż od niej do lasu jest stosunkowo dość daleko. Niemiecki gniazdo ogniowe znajdowało się właśnie na grobli, czy jak kto woli — na wzgórzach, tuż przed wioską.

W. B. w swej notatce pisze, jak to Kunawin obrzucił granatem jeden otwór bunkra, drugim granatem drugi otwór bunkra i w ten sposób zniszczył dwa cekaemy Niemców. Pozostał trzeci otwór z trzecim kaemem, ale Kunawinowi zabrakło już granatów.

Oglądając pobojowisko pod Harasimowiczami i może zapewne W. B. — że załaden z niemieckich bunkrow nie posiadał więcej niż po jeany ciężkim karabinie maszynowym. Nie były to jakieś betonowe schrony, lecz zwykłe, zbudowane z drzewa i pokryte ziemią umocnienia. Kilka z nich zniszczyła artyleria radziecka, która siała za Chilmomami. Pozostał właśnie ten ostatni, na którym rozbiły się ataki strzelców i który ostatecznie zdobyto dzięki poświęceniu Kunawina.

Jeszcze jedna sprawa. W. B. tak kończy swoje wypracowanie: „W dalekim Uralu, gdzie Kunawin był robotnikiem, pracuje z pewnością wielu jego towarzyszy. Być może żyje tam jego matka i inni bliscy mu ludzie. Chciałoby się im powiedzieć: bądźcie dumni z Grisy” (podkreślenie moje).

Katarzyna Andrejewa i Paweł Wasiliewicz Kunawinowie, dożywają swych dni we wsi Bajny, w rejonie Bogdanow, pracując z pewnością wielu jego towarzyszy. Być może żyje tam jego matka i inni bliscy mu ludzie. Chciałoby się im powiedzieć: bądźcie dumni z Grisy” (podkreślenie moje).

Warto zresztą pisać tylko o rzeczach, o których ma się jakieś takie pojęcie.

(Jc)

Przyganiał kociol garnkowi...

Felietonista „Nowej Kultury” ukrywający się pod literkami „Jp” tnie piórem niby brytywą. Gromy świętego oburzenia ciska na głowę Ireny Merz, której coś się rzeczywiście poplątało z datami — pozostawił sobie spokojnie Bastylie całą i nienaruszoną do roku 1793, choć pamiętamy wszyscy, że została ona zburzona 14 lipca 1789 roku (taka łatwa data, pamiętacie?).

Cóż — errare humanum est, ale „Jp” jest nieubлагany. „Nie zawadzi jednak wiedzieć coś niecoś o faktach” — powiada odrobina mentorskim tonem. Można by było mu to z łatwością wybaczyć, gdyby... Gdyby nie notatka tego samego gaffologa, zamieszczona tuż poniżej i zatytułowana „Kamień do własnego ogródka”.

W tym razem „Jp” jest nieubлагany. Prosiąc władzę o zamieszczenie „Nowej Kultury” stwierdza, że teatr nowojorski, zaproszony do Moskwy „...nie nazywa się Porcy i Bess, ale Everymann, że Porcy i Bess to nie nazwa żadnego teatru, ale tytuł sławnej i urocznej komedii muzycznej Gershwi- na i, że poza tym imię jej bohaterki brzmi Porcy, a nie Porcy”. „Reszta w porządku” — powiada „Jp”.

Sek w tym, że nie w porządku. Otóż bowiem nowojorski zespół teatralny zaproszony do Moskwy naprawdę nazywa się Porcy i Bess, o czym można się przekonać przy pobieżnym choćby przejrzaniu „New York Times” z dnia 2 września 1955 r. Sto napisane jak wół. Jeśli „Jp” odpowie, że to w celu zmylenia „czterwanych” — nie wierzę. To raz.

Przeczytałem ostatnio recenzję Bohdana Węsierskiego o nowego filmu polskiego „Trzy starty” (Express Wieczorny nr 25). Nazwisko autora jest mi trochę znane z krytyki filmowej i dlatego postanowiłem napisać tę notatkę.

Węsierski twierdzi na początku swojej recenzji, że o „Trzech startach” „można by napisać bardzo dobrze i nieprzychylnie. Obydwie oceny znalazłyby swoje uzasadnione argumenty i byłyby prawdziwe”. Bardzo kompromitująca teoria, i wyjątkowo szkodliwa dla filmu, dla życia, i dla autora recenzji.

Idźmy jednak dalej. Jaka postawę przyjmują Węsierski? Oto przykład z oceny części bokserkiej. Jest ona „...pozbawiona poczucia humoru, a w

Poza tym Porcy to — na miły Bóg! — nie imię bohaterki, lecz bohatera, zebrała murzynskiego, kaleki, poruszającego się na wózku, zaprzęgnię w kozę... Gdyby felietonista „Jp” mieszkał nie w Warszawie, lecz w Południowej Karolinie byłby na pewno nazywany przez przyjaciół „Porcy”, gdyby to po prostu zdomniał George — coś w rodzaju Jurecka. Tak, Porcy and Bess — to Jureczek i Elżunia. To dwa.

Wreszcie z tą komedią muzyczną to coś nie bardzo „tego”. Zobaczenie sami, wybieram na chybił trafił — druga odsona aktu I:

Trup Robbinsa, Murzyna zabitego przez bandziora Crowna, leży na przyz. Na pierwszych nieboszczyka cynowy iater. Na talerz niedźwiedziach cynowych ruczący centy. Trzeba go pochować w przeciągu 24 godzin, w przeciwnym razie trup zostanie zabrany do prosektorium.

Boki można zrywać ze śmiechu, co? A to ci dopiero komedia (muzyczna)! Takie są skutki, gdy ktoś nie odróżnia opery od komedii muzycznej, lub co jest bardziej jeszcze prawdopodobne — dysponuje niepewnym zasobem wiadomości na temat spraw przez siebie poruszanych.

Mora! Mora! Znać nie trzeba... Znałaz go już „Jp”. Zaraz, zaraz — jak to było? „Nie zawadzi jednak wiedzieć coś niecoś o faktach”. Święte słowa. Wy-malować, oprawić w ramki, powieścić nad łóżkiem i odczytywać dwa razy dziennie, srogi gaffologu „Jp”!

(Seg)

Chyba jednak ignorant

scenach bójek i meczów czujemy zbyt wiele asekurancja. Sytuacje przy wódcę są po prostu pokazane w sposób niesmaczny. Całość raczej nuży niż interesuje. Chciałabym zaznaczyć to wcale, żeby historia bokserka nie była elekawa”.

Znamy, znamy! Oto jeszcze jeden przykład eklektycznej, nikomu niepotrzebnej recenzji. Czytelnik ją czyta, czyta, czyta. Czytelnik nie wie, nie wie, nie wie, nie wie... Wreszcie idzie do kina, żeby zobaczyć film — i... to jedy-na korzyść z recenzji.

Tyle się mówiło, że recenzent powinien wiedzieć, czego chce, że powinien być współtwórcą sztuki. Niestety, nauka w wieloletniej „ludzie w las”. Mamy więcej ignorantów niż krytyków.

Markus

Ściśle Niebezpieczne

Utych

Na stole była rozpostarta duża mapa miasta i jego okolic. Krzywy promień porannego słońca padał na nią i odbijając się od błyszczącej powierzchni oślepiał pochylonych nad stołem Astangowa i Potapowa.

Astangow wyprostował się i przetarł palcami przemęczone oczy. — Niestety, mapa nie dałanki odpowiedzi po co on tu przybył. Im dłużej na nią patrzył, tym więcej widział obiektów, które mogłyby go interesować. Po co on tu przybył? To pytanie określa całą istotę pierwszego etapu naszej pracy.

— A może nasze miasto, to tylko dobrze obmyślony manewr i później przedostanie się na zupełnie inne miejsce? — podsunął Potapow.

— Nie sądzę — po chwili milczenia powiedział Astangow. — Jeżeli już zdecydowali się rzucić go tak daleko od granicy, to chyba nie ryzykowali tylko po to, żeby nas wyśledzić w pole. Ich plan jest według mnie taki: lądowanie w głębi naszego terytorium w celu błyskawicznego zbliżenia do obiektu, albo dużego miasta, w którym łatwiej się schować. Tak, czy inaczej, jesteśmy obowiązani za punkt wyjścia wziąć przypuszczenie, że przybył on właśnie do nas. Nie zapominajcie Potapow, że w naszym mieście znajduje się Instytut Wolskiego, a dla nich to bardzo kuszący obiekt. Tak, więc Instytut Wolskiego... — Astangow niebieskim ołówkiem narysował na mapie kilka obejmujących kilka dzielnic miasta. — To jest strefa działalności naszej grupy operacyjnej. Nie zapominajmy jednak o innych obiektach. Zakończył na mapie jeszcze kilka kółek. — Węzeł kolejowy. Lotnisko wojskowe. Rejon artyleryjski... Tu będą pracować inne grupy. Ale najważniejszy jest instytut Wolskiego. Jestem tego pewien. Proszę zorganizować jak najbardziej dokładną obserwację instytutu i jego filii miejskiej. Przeprowadźcie rozmowy z ludźmi Wolskiego — z jego szoferem, sekretarzem — wszyscy winni być w pogotowiu. Obie-

rzycie lotnisko profesora. Tam zorganizujecie punkt obserwacyjny. Pomówcie też z Wolskim, powinien wiedzieć o niebezpieczeństwie, które mu zagraża... Dowiedziałem się, że dla banki przyjeżdża do instytutu mniej więcej o jedena-

cie. Potanow postanowił spotkać się z nim od razu. Lotnisko Wolskiego znajdowało się na skraju osiedla. Od razu za bramą zaczynał się sosnowy las. Willa była ogrodzona wysokim płotem, nad którym przeciągnięto drut kolczasty — to się Potapowo-

wi spodobało. Natomiast zupełnie nie spodobał mu się fakt, że furtka była otwarta na oścież.

Przeszedł cały ogród aż do placu przed domem i tu zobaczył Wolskiego. Profesor uczył syna jeździć na dwukółkowym rowerze. Biegł za rowerem, coś krzyczał, śmiał się głośno. Potapow poczekał chwilę za krzakami bzu. Nie chciał mu się jakoś przeszkadzać profesorowi. „Mój nie mógłby jeszcze nawet na trzech kołach” — pomyślał o swoim synku i jakby wstydząc się tej postronnej myśli zdecydowanym krokiem wyszedł z lasu.

— Kręć śmieiej! O tak — profesor nacisnął pedał roweru i już chciał ruszyć, gdy zauważył Potapowa. — Wy do mnie?

— Tak, profesorze. Wybaczyć, ale rozmowa jest pilna...

Wolski spojrzął na niego ze zdziwieniem i wstrząsnął ramionami:

— No cóż, wiedzcie, ja tylko umyję ręce.

Potapow wszedł na werandę. W tym czasie synek profesora przemknął obok na rowerze i przez otwartą furtkę wyjechał na ulicę. Wyjał notes i zanotował: „Furtka. Chłopczyk”.

— Słucham was — profesor Wolski stał we drzwiach i nieprzychylnie przyglądał się przybyłszowi. — Możemy rozmawiać tutaj?

Usiedli przy okrągłym stoliku. Potapow przedstawił się, Wolski ze zdziwieniem podniósł brwi.

Zaistniała konieczność, Sergiuszu Dymitrowiczu, natychmiastowego zwiększenia waszego rozeznania się.

— Moim zdaniem instytut jest dostatecznie strzeżony.

— Mowa jest o waszej osobistej ochronie. Gdyby nie było do tego podstaw nie pozwolilibyśmy sobie niepokoić was. — Potapowa irytowało trochę, że profesor słucha go z zupełnym brakiem zainteresowania.

— No dobrze, słucham — już trochę laskawiej powiedział Wolski.

— My musimy zawczasu wiedzieć o każdym waszym kroku w ciągu dnia. Niech wasz sekretarz zawiadamia nas o tym. Oprócz tego, prosimy, żebyście w tym okresie ograniczyli wasze obcowanie z obcymi ludźmi.

Wolski uśmiechnął się.

— Dobrze. Co jeszcze?

— Na razie wszystko, Sergiuszu Dymitrowiczu...

— A jak długo będzie trwał ten wasz... okres?

— Nie wiem dokładnie.

— Do diabła! — wyrwało się Wolskiemu z całego serca.

Potapow roześmiał się.

— Mogliście nie robić odkryć, które tak niepokoją niektórych panów.

— Dobrze, podporządkuję się. Naprawdę się herbaty?

— Dziękuję. Przepraszam, że was nie pokolem. Do widzenia. — Potapow zszedł z werandy i odwrócił się. — I jeszcze jedno, wasz chłopiec wyjechał na ulicę. Lepiej go tam nie puszczać. I furtkę zamykać.

Wolski nie odpowiedział.

Potapow wrócił do miasta. Z auta obserwował pstry krajobraz podmiejski. Mi-

gnęł przed nim jacyś młodzie grający w siatkówkę, dama w pszym szafroku z rękami na ramieniu, rowerzysta, pionierzy stojący na baczność przed masłem z flagą, dziewczyna i chłopiec przed gankiem.

Potapow patrzył na wszystko, ale ani na minutę nie opuszczała go myśl, — gdzie się teraz ten nieznan mu na razie człowiek, którego on musi znaleźć.

(dalszy ciąg nastąpi)